

Uczeń Jedi - Jude Watson – 02. Mroczny Przeciwnik

GWIEZDNE WOJNY

UCZEŃ JEDI

MROCZNY PRZECIWNIK

Jude Watson

Tłumaczyła
Magdalena Jarczyk



EGMONT

Uczeń Jedi - Jude Watson – 02. Mroczny Przeciwnik

Tytuł oryginału: *Star Wars: Jedi Apprentice The Dark Rival*

Wydanie pierwsze: Scholastic Inc., USA 1999

© 1999 Lucasfilm Ltd. &™. All rights reserved. Used under authorization.

All rights reserved. No part of this publication may be reproduced, stored in a retrieval system, or transmitted in any form or by any means, electronic, mechanical, photocopying, recording or otherwise, without the prior written permission of the copyright owner.

Projekt okładki: Madalina Stefan

Ilustracja na okładce: Cliff Nielsen

Redakcja: Anna Walenko, Jacek Drewnowski

Pierwsze wydanie polskie: Egmont Polska 1999 00-810

Warszawa, ul. Srebrna 16, tel. 625-50-05

ISBN 83-237-0338-8

Druk: Prasowe Zakłady Graficzne Koszalin

ROZDZIAŁ 1

K-7: poziom 8, poziom 7, poziom 6, poziom 5.
Wąsko. Ciężar. Pułapka.

„Nie, Qui-Gonie. Potrafię to zrobić, I zrobię to”. Wie, że to nie ma prawa się stać. Nie wolno mu do tego dopuścić. Ale nie potrafi walczyć z tą siłą. Widzi przerwany okrąg, łuk, którego końce - przeszłość i przyszłość - nie stykają się ze sobą. Musi zamknąć krąg. Musi...

Qui-Gon Jinn obudził się gwałtownie. Natychmiast po przebudzeniu wiedział, gdzie się znajduje. Jego sny ulatniały się szybko, pozostawiając niezmacony umysł.

Koszmar spowodował jedynie, że jego zmysły się wyostrzyły. W pokoju było ciemno, ale rozróżniał zarys okna. Słyszał też cichy oddech śpiącego obok na łóżku Obi-Wana Kenobiego.

Zakwaterowano ich w komnacie gościnnej w oficjalnej rezydencji gubernatorów Bandomeer. Jinn przybył na tę planetę z rutynową misją, która niespodzianie zrobiła się

całkiem nierutynowa - a wszystko z powodu kilku słów napisanych na skrawku papieru.

Właśnie te słowa były przyczyną koszmaru, który powracał już trzecią noc z rzędu.

Qui-Gon zacisnął dłoń na mieczu świetlnym, który trzymał w zasięgu ręki na wypadek wizyty nieproszonych gości. W mgnieniu oka mógł zerwać się z łóżka i stanąć do walki.

Ale jak walczyć ze snem?

„K-7, poziom 5”. Cóż mogły oznaczać te słowa i liczby? K-7 - to mogła być jakaś oznaczona na mapach, lecz nie zamieszkana planeta albo układ gwiazdny. Ale skąd to wrażenie, że znalazł się w pułapce? Kto powiedział „Potrafię to zrobić”? I, dlaczego, słysząc te słowa, czuł taki gniew, taką beznadziejną rozpacz?

Jedynym rozpoznawalnym elementem snu był przerwany okrąg. Przerazał go ten znak.

Zdawało mu się, że wszystko to należy już do przeszłości. Ale kiedy wylądował na Bandomeer, ktoś wręczył mu list, w którym witano go na planecie. Wiadomość podpisana była: „Xanatos”.

Rycerzy Jedi uczy się, by przywiązywali wagę do snów, ale nie wierzyli w nie. Sen może równie dobrze oświecić, jak i wprowadzić w błąd. Jedi powinien wypróbować go

jak niepewny grunt, zanim postawi na nim stopę, i uczynić następny krok dopiero wtedy, gdy będzie wiedział, na czym stoi. Niektóre sny to tylko zabłąkana energia. Jedni Jedi miewają prorocze sny, inni nie.

Qui-Gonowi zdarzało się to rzadko i wolał nie rozpa-
miętywać swoich snów. W świetle dnia udawało mu się odsunąć je od siebie. Ale w nocy nie było to takie łatwe

Żałował, że nie potrafi odegnać dręczących go koszmarów i wspomnień.

Przemierzył całą galaktykę, od Światów Środka po Ru-
bieże. Widział wiele rzeczy, które sprawiły mu ból, i wiele rzeczy, o których wolałby zapomnieć.

Teraz doścignął go w końcu najgorszy ból, najdotkli-
wszy żal.

ROZDZIAŁ 2

To właśnie Qui-Gon odkrył Xanatos, zmierzył u niego poziom midichlorianów i sprowadził dziecko do Świątyni Jedi.

Pamiętał wyraz twarzy Criona, gdy zabierał mu jedyne syna z jego rodzinnej planety Telos. Crion był najzamożniejszym człowiekiem na Telos, ale wiedział, że mimo całego swojego bogactwa nie może dać Xanatosowi tego, co Qui-Gon. Nie potrafił odmówić tego synowi. Qui-Gon ujrzał wtedy wypisany na jego twarzy ból i zawahał się. Ostatni raz zapytał, czy Crion jest pewien swojej decyzji. Tamten powoli pokiwał głową. Jego decyzja była ostateczna. Xanatos poleci z Qui-Gonem i będzie się szkolił na Rycerza Jedi.

Źle się stało, że Qui-Gon nie wsłuchał się wówczas uważniej w swoje własne wahanie. Gdyby to zrobił, nie zdecydowałby się zabrać chłopca ze sobą. A wtedy życie każdego z nich potoczyłoby się zupełnie inaczej...

Qui-Gon przerzucił nogi przez krawędź łóżka i wstał. Podszedł do okna i odsunął ciężką zasłonę. W słabym świetle ledwo dostrzegał szyby kopalni. W oddali widniał czarny przestwór Wielkiego Morza.

Bandomeer stanowiła w połowie jeden wielki masyw lądowy i w połowie jeden olbrzymi ocean? Cała planeta należała do spółek eksploatacyjnych. Leżało na niej tylko jedno miasto - Bandor - i to w nim mieściła się siedziba gubernatora. Ale nawet miasto usiane było kopalniami. W brudnoszarym powietrzu unosił się czarny pył.

Był to zdewastowany, ponury świat. Większością kopalni zarządzano spoza planety. Przynosiły one wprawdzie ogromne zyski, ale Meerianie, rdzenni mieszkańcy Bandomeer, niewiele z tego mieli. Nawet oficjalna rezydencja gubernatora była zaniedbana i nędznie umeblowana. Qui-Gon przebiegł palcami po skraju zasłony. Materiał zaczynał się strzępić.

Obi-Wan poruszył się przez sen. Qui-Gon odwrócił się i spojrzał na chłopca, ten jednak spał dalej. Jedi nie budził go. Tego dnia mieli się rozdzielić i samodzielnie zająć czekającymi ich na Bandomeer zadaniami. Misja Obi-Wana nie była wprawdzie niebezpieczna, ale miała stać się sprawdzianem jego umiejętności. Każda, nawet na

pozór prosta misja była dla Rycerza Jedi próbą umiejętności. Qui-Gon już dawno się o tym przekonał.

Mieli właśnie za sobą wspólną podróż, niebezpieczną i niespodziewaną. Walczyli ramię w ramię i zaglądali śmierci w oczy. A przecież nie czuł bliskiej więzi z Obi-Wanem. Gdzieś w głębi duszy wciąż miał nadzieję, że Yoda odwoła chłopca z powrotem do Świątyni.

Qui-Gon nakazał sobie uczciwość. Nie czuł więzi z Obi-Wanem, bo nie chciał sobie na to pozwolić. Nie da się ukryć, że podczas tej podróży chłopiec zrobił na nim wrażenie. Był to trudny, pełen napięcia lot, ale Obi-Wanowi udało się zachować milczenie i spokój nawet wtedy, gdy Qui-Gon zupełnie nie podejrzewał go o podobne opanowanie. Ale wiedział też, że Obi-Wan wciąż za bardzo ulega ślepej ambicji i gniewowi. Właśnie te dwie cechy doprowadziły do zguby Xanatosa. Qui-Gon nie mógł pozwolić, by coś takiego się powtórzyło. Wiedział, jak zdradliwe może być poleganie na własnym uczniu.

Postanowił więc utrzymać dystans między sobą a młodym Kenobim. Już niedługo Obi-Wan pojedzie obserwować pracę Korpusu Rolnictwa. Przemysł wydobywczy w brutalny sposób pozbawił Bandomeer wielu bogactw naturalnych. Ogromne kopalnie zajmowały wiele kilometrów kwadratowych. Po wyeksploatowaniu działki kopalnię

zamykano, pozostawiając jałową ziemię, niezdatną pod uprawę. Żywność sprowadzano z innych światów.

Sytuacja była niebezpieczna i miejscowe władze starały się ją zmienić - planowano przywrócić ziemię i olbrzymi ocean do poprzedniego stanu. Korpus pomagał w tych usiłowaniach, rekultywując duże obszary, odgradzając je i tworząc coś, co rząd nazywał „strefami wzbogacania”. Obi-Wan wybierał się z pomocą do największej z tych stref.

Zadanie Qui-Gona nie było tak jasno określone. Rada Jedi powołała go na prośbę tutejszych władz na Strażnika Pokoju. Nie był jeszcze pewien szczegółów. Większość mieszkańców Bandomeer pochodziła z innych planet. Przylatywali do pracy w kopalniach, starali się zaoszczędzić jak najwięcej pieniędzy i czym prędzej odlatywali. To dlatego rząd miał takie kłopoty z wprowadzeniem zmian. Wszyscy, włącznie z rdzennymi mieszkańcami Bandomeer, mieli zamiar jak najszybciej opuścić planetę. Nikogo tak naprawdę nie obchodziło, co się z nią stanie.

Ale ostatnio zaczęło się to zmieniać. Meerianie weszli w spółkę z archońskimi imigrantami. Założyli wspólne przedsiębiorstwo i równo dzielili zyski.

Część górników przeniosła się już z kopalni należących do potężnej Korporacji Pozaplanetarnej do tej właśnie

spółki. Qui-Gon miał przeczucie, że właśnie z tego powodu wezwały go władze Bandomeer. Korporacja nigdy nie spoglądała zbyt przychylnie na tych, którzy wchodzili na jej podwórko.

Na dworze zrobiło się jaśniej. Jaskrawopomarańczowe plamy słońca lizały wysokie szyby kopalń niby języki ognia. Wciąż zmagając się z koszmarem, Qui-Gon przyglądał się, jak Bandor budzi się do życia. W wąskich uliczkach zapalały się światła. Robotnicy szli do kopalni, a zmęczeni, apatyczni pracownicy nocnej zmiany - do swoich domów. Rycerz wrócił myślami do niespodziewanej wiadomości od Xanatosy:

„Czekałem na ten dzień”.

Obok imienia Xanatosy widniał mały rysunek przerwanego okręgu - końce łuku się nie stykały.

Ten rysunek miał mu o czymś przypomnieć, zadrwić z niego: Xanatos miał na policzku bliznę w tym kształcie. Qui-Gon ponownie zastanowił się nad treścią listu, rozważając wszystkie możliwe wnioski. Niewykluczone, że szedł prosto w pułapkę. A może Xanatos bawił się z nim w jakąś grę. Może był teraz na drugim krańcu galaktyki i uśmiechał się na myśl o tym, że widok tego imienia przejmuje jego byłego mistrza dreszczem strachu.

Pasowałyby to do Xanatos: zbić Qui-Gona z tropu, przyhamować go, naprowadzić na błędną interpretację - wszystko przez podsunięcie mu myśli, że on, Xanatos, ma z tym coś wspólnego. Xanatos był przebiegły i często wykorzystywał tę przebiegłość w okrutnych grach.

Nagle Qui-Gon zapragnął, żeby list okazał się grą, szyderstwem, dziecinadą.

Wolałby już nigdy więcej nie spotkać się z Xanatosem twarzą w twarz.

ROZDZIAŁ 3

Obi-Wan Kenobi obudził się, ale nie poruszył. Spod przymkniętych powiek spojrzął ukradkiem na Qui-Gona. Mistrz Jedi stał przy oknie - wprawdzie plecami do Kenobiego, ale jego napięte mięśnie i tak powiedziały chłopcu, że Jinn znowu nad czymś rozmyśla.

Korciło go, żeby spytać Qui-Gona, o czym myśli. Od chwili, gdy wylądowali na Bandomeer, w jego głowie kłębiło się od pytań. Co aż tak poruszyło spokojnego dotąd Qui-Gona? Czy będzie pomagał mistrzowi w jego misji Strażnika Pokoju? Czy udowodnił, że jest godzien zostać jego uczniem?

Obi-Wan ledwo kilka dni temu opuścił Świątynię, ale od tego czasu strzelano już do niego z miotacza i usiłował go udusić Hutt. Miał do czynienia z togoriańskimi piratami, walczył z olbrzymimi skrzydlatymi smokami i pilotował wielki transportowiec pod ciężkim ostrzałem. Ale naj-

wyraźniej to nie wystarczyło, żeby zrobić wrażenie na Qui-Gonie.

Żałował, że nie potrafi zachować całkowitego spokoju ducha, jak uczono go w Świątyni. Wiedział, że jako młody Jedi powinien ze spokojem przyjmować to, co niesie ze sobą życie. Ale do szafu doprowadzała go sytuacja, w jakiej się znalazł. Ukończył szkolenie w Świątyni, ale żaden Rycerz Jedi nie wybrał go na swojego ucznia. Kiedy skończy trzynaście lat, będzie za późno. A to już za trzy tygodnie!

Wyglądało na to, że jego przeznaczeniem jest zostać rolnikiem, nie wojownikiem czy Strażnikiem Pokoju. Obi-Wan myślał już, że zaczął się z tym godzić, ale nie było to łatwe. Czuł, że jego przeznaczenie leży na innej drodze, i nic nie mógł na to poradzić.

Widać Qui-Gon tak nie uważał. Obi-Wan uratował mu życie, ale rycerz zachowywał się tak, jakby chłopiec wyświadczył mu po prostu drobną przyjacielską przysługę - pomógł naprawić zepsuty zamek czy coś w tym rodzaju. Przyjmował lojalność i poświęcenie Obi-Wana z uprzejmą akceptacją, nic więcej.

Qui-Gon odwrócił się lekko i Obi-Wan uważnie przyjrzał się jego profilowi. Wraz ze światłem dziennym komnatę wypełniły niepokój i z troskanie mistrza. Towa-

rzyszyły mu od chwili, gdy otrzymał list. Qui-Gon powiedział, że to pozdrowienia od starego znajomego, ale Obi-Wan mu nie uwierzył.

Wtem, wciąż wyglądając przez okno, Qui-Gon prze-rwał milczenie.

- Ubieraj się. Zaraz zaczyna się spotkanie.

Obi-Wan westchnął, odrzucając lekki koc. Przecież na-wet nie drgnął, a Qui-Gon i tak wiedział, że już nie śpi. Jedi zawsze wyprzedzał go co najmniej o dwa kroki.

Dlaczego Qui-Gon nie powiedział mu, co się stało? Chodziło o tę wiadomość, czy może po prostu miał go dosyć?

Obi-Wan najchętniej zadałby wprost to pytanie. Ale jedną z najważniejszych zasad Jedi było nie wypytywać mistrza. W prawdzie kryje się czasem wielka moc, toteż decyzję o podzieleniu się z kimś prawdą trzeba podejmo-wać z rozwagą. Tylko mistrz mógł rozstrzygnąć, czy lepiej będzie ją ujawnić, czy zataić.

I choć raz Obi-Wan cieszył się, że jakaś zasada go ogranicza. Ponieważ bał się odpowiedzi na pytanie, które chciał zadać.

Obi-Wan wszedł za Qui-Gonem do sali konferencyjnej. Fakt, że mistrz zaprosił go na spotkanie, mile go zaskoczył.

Może oznaczało to, że jednak postanowił wziąć go na ucznia.

Spodziewał się urządzonej ze zbytkiem komnaty, ale zobaczył tylko krąg poduszek do siedzenia, rozłożonych na gołej kamiennej podłodze. Bandomeer nie mogła pozwolić sobie na to, by imponować gościom przepychem.

Do sali weszła SonTag, gubernator planety. Srebrzyste włosy przycięła krótko, według meeriańskiej mody. Jej ciemne spojrzenie spoczęło na dwóch Jedi. Była drobna, jak wszyscy Meerianie, znacznie niższa od Obi-Wana. To właśnie drobna postura uczyniła Meerian znakomitymi górnikami.

Meeriańskim gestem wyciągnęła przed siebie obie ręce, wnętrzem dłoni do góry. Qui-Gon i Obi-Wan zrobili to samo.

- Witajcie - powiedziała cicho. Wskazała stojącą po jej lewej stronie młodszą kobietę. Ona również miała skrót-Ok obcięte jasnosrebrzyste włosy, a także płonące sreber-nm. blaskiem oczy. Stała nieruchomo, ale zdawało się, że powietrze wibruje od emanującej z niej energii. - To jest VeerTa, dyrektor Kopalni Planetarnej.

Jedi powitali VeerTę w ten sam sposób. Trochę już o niej wiedzieli. Była zagorzałą patriotką i odegrała znaczącą

rolę w utworzeniu Partii Planetarnej. Celem partii było przywrócenie żyznych niegdyś pól Bandomeer do ich poprzedniego stanu oraz sprawowanie kontroli nad zasobami naturalnymi planety. Pierwszy krok miał polegać na uniezależnieniu się od finansowego wsparcia pozaplane-tarnych korporacji. Aby to osiągnąć, VeerTa weszła w spółkę z Arconianami.

SonTag wskazała gościom poduszki. Sama również usiadła. Poduszki SonTag i VeerTy uniosły się powoli, aż twarze całej czwórki znalazły się na tej samej wysokości.

- Poprosiłam VeerTę, żeby do nas dzisiaj dołączyła, ponieważ żadna z nas nie wie, co sądzić o pańskiej wizycie - zaczęła gubernator. - Wprawdzie miło nam pana powitać, musimy jednak przyznać, że jesteśmy zaskoczone. Wiadomo nam, że Korpus Rolnictwa poprosił o pomoc. My jednak tego nie zrobiliśmy.

Qui-Gon spojrzał na nią z zaskoczeniem.

- Ależ Świątynia otrzymała od rządu Bandomeer oficjalną prośbę o przysłanie Strażnika Pokoju. Mam wszystkie dokumenty.

- Nie podaję tego w wątpliwość - odrzekła stanowczo SonTag. - Ale nie wysyłałam takiej prośby.

- Bardzo dziwne - mruknął Qui-Gon.

- Bez względu na to cieszymy się że pan tu jest - stwierdziła rzeczowo VeerTa. - Wątpię, czy Korporacja Pozaplanetarna da nam duże pole manewru. Powiedzmy, że słynie z pozbywania się konkurencji.

- Zgadzam się z tym. Znam jej metody z własnego doświadczenia - odparł Qui-Gon.

Powiedział to neutralnym tonem, ale Obi-Wan wiedział, jak dalece Jinn potępia praktyki Korporacji. Po drodze na Bandomeer chłopiec przeżył wstrząs, widząc, jak otwarcie ucieka się ona do zastraszania, gróźb i zwykłej przemocy, by utrzymać posłuch wśród swoich pracowników. Hutt Jemba pozbawił wtedy grupę Arconian bezcennej substancji, która utrzymuje ich przy życiu. Dał im niegodziwy wybór między pracą dla Korporacji a śmiercią. Śmiał im się w oczy, kiedy nie mieli już siły się ruszać.

- A zatem rozumie pan, dlaczego chcielibyśmy, żeby przy naszych pierwszych rozmowach z Korporacją był przedstawiciel Zakonu Jedi - rzekła VeerTa. - Pańska obecność da nam gwarancję że wszyscy będą przestrzegać zasad uczciwej gry.

Qui-Gon skinął głową.

- Z radością udzielę wszelkiej możliwej pomocy.

Obi-Wan czuł narastające podniecenie. Bez wątpienia będą to rozmowy wielkiej wagi - stawką była przyszłość

planety. Poza tym Kopalnia Planetarna sprzymierzona była z Arconianami, przypuszczalnie więc będzie mógł zobaczyć się znowu z Clat'Hą i Si Treembą, z którymi zaprzyjaźnił się w czasie podróży na Bandomeer. Qui-Gon nie zechce chyba, by Obi-Wan uczestniczył w negocjacjach?

- Mój towarzysz uda się do Wschodniej Strefy Wzbo-
gacania - oznajmił Qui-Gon, wskazując na Obi-Wana. -
Czy możecie zorganizować mu transport?

Obi-Wan prawie nie słuchał, jak SonTag wyraża zgo-
dę. Nad zniechęceniem zaczął brać górę gniew. Qui-Gon
zajmie się ratowaniem planety, a on w tym czasie będzie
patrzył, jak rośnie zielsko! W końcu jednak przypadnie mu
roboty rolnika.

Jeszcze przed chwilą miał nadzieję, że po wszystkim,
co przeżyli, lecąc na Bandomeer, Qui-Gon odwoła jego
pierwotną misję. Najwyraźniej jednak Jinn wciąż nie wie-
rzył, że Obi-Wan ma szansę zostać rycerzem. Prędzej ode-
śle go do pracy na roli, niż uczyni swoim Padawanem!

Obi-Wan usiłował pohamować złość. Mistrz Yoda po-
wiedział mu, że człowiek często złości się nie na kogoś,
lecz na siebie. „Musisz zamknąć usta i otworzyć uszy -
rzekł. - Wtedy usłyszysz, czego w głębi serca pragniesz”.

No cóż, w tej chwili w głębi serca pragnął krzyknąć ze
złości.

Qui-Gon wyciągnął ręce wnętrzem dłoni do góry i obrócił je do dołu. Był to pożegnalny gest Meerian. SonTag i VeerTa pożegnały się w ten sam sposób. Wyglądało na to, że nikogo nie obchodzi, co robi Obi-Wan, rozmyślnie więc zignorował zwyczaj.

Podobna nieuprzejmość stanowiła poważne wykroczenie u ucznia Jedi, jednak przez całą drogę korytarzami rezydencji Qui-Gon nie powiedział ani słowa.

Za drzwiami przystanęli na schodach. Obi-Wan czuł, jak powietrze chłodzi mu rozpłomienioną twarz. Czekał, aż Rycerz Jedi go skarci. Wtedy będzie mógł powiedzieć mu, że chce zostać w Bandorze. Wiedział, jakich użyć argumentów; Qui-Gonowi będzie potrzebna jego pomoc.

- Zwykle, gdy wydaje ci się, że ktoś nie zwraca na ciebie uwagi, mylisz się - powiedział Qui-Gon, patrząc w dal. - Po prostu ten ktoś nie chce okazywać swego zainteresowania. Albo jego myśli zaprzątnięte są czymś istotniejszym, i nie jest to powód, by zachowywać się nieuprzejmie.

-Ale ja...

-Wiem, twoja nieuprzejmość wzięła się z gniewu - podjął Qui-Gon. Jak zwykle mówił łagodnie i cicho. - Zignoruję ją.

W umyśle chłopca pojawiły się gniewne słowa: „Skoro postanowiłeś ją zignorować, po co w ogóle o niej wspominasz?”.

Qui-Gon spojrzał wreszcie wprost na Obi-Wana.

- Pod żadnym pozorem i w żaden sposób nie będziesz próbował mieszać się do mojej misji. Nie podejmiesz żadnego działania bez porozumienia ze mną.

Obi-Wan skinął głową.

Qui-Gon powiódł wzrokiem po kopalnianych szybach Bandoru.

- Rzadko coś jest takie, na jakie wygląda - szepnął.

- Dlatego właśnie chciałbym... - zaczął Obi-Wan.

- Chodź - przerwał mu surowo Qui-Gon. - Pójdziemy po twoje rzeczy. Nie możesz się spóźnić.

Ruszył szparkim krokiem przed siebie. Idący za nim wolniej Obi-Wan ujrzał, jak w szarym, zimnym powietrzu nikt nie jego szansa na zostanie Rycerzem Jedi.

ROZDZIAŁ 4

Xanatos nie był łatwym uczniem. Choć był całkiem mały, gdy opuszczał Telos, zapamiętał, że pochodzi z wpływowej rodziny i z wpływowej planety. Wykorzystywał to, by popisywać się przed innymi uczniami, z których większość nie miała tak „dobrego” pochodzenia.

Qui-Gon był cierpliwy i tolerował tę słabostkę; uważał, że to dziecięca wada charakteru, która zaniknie z upływem czasu i w miarę nauki. Większość uczniów, którzy dopiero co trafili do Świątyni, wciąż jeszcze tęskniła za rodziną i za ojczystym światem. Qui-Gon mówił sobie, że w gruncie rzeczy z Xanatosem jest podobnie. A chłopiec nadrabiał snobizm autentyczną chęcią do nauki i niezwykłą łatwością, z jaką przyswajał sobie umiejętności Jedi. Kiedy nadszedł czas, Qui-Gon wybrał Xanatosa na swojego ucznia-Padawana.

Odprowadziwszy wściekłego Obi-Wana do podstawionego pojazdu, Qui-Gon poszedł się przejść. Jego myśli krążyły uparcie wokół porannego spotkania. Kto sfabrykował prośbę o interwencję Jedi w sprawy

Bandomeer? Jeżeli zrobił to Xanatos, jaki miał w tym cel? Czyżby zwabił swego byłego mistrza w pułapkę?

Nie znalazł odpowiedzi na żadne z tych pytań. Jeśli nawet zastawiono na niego jakąś pułapkę, on jej nie dostrzegł. Nie mógł przecież powiedzieć SonTag, że nie pomoże jej z powodu pewnego tajemniczego człowieka, którego znał przed laty, a który wciąż może żywić do niego urazę. Miał tylko jedno wyjście: kontynuować swoją misję na Bandomeer. Misja była czymś realnym. SonTag i VeerTa potrzebowały pomocy.

SonTag zawiadomiła go, że spotkanie z Korporacją odbędzie się w budynku Kopalni Planetarnej. O umówionej porze Qui-Gon opuścił swoją kwaterę i zobaczył idącą korytarzem w jego stronę panią gubernator.

- Cieszę się, że udało mi się pana złapać - powiedziała. - Zmieniliśmy miejsce negocjacji. Myślę, że będzie lepiej dla obu stron, jeśli spotkamy się na terenie neutralnym. Może oficjalny ton rozmów sprawi, że ich uczestnicy będą bardziej uprzejmi. - Skrzywiła się. - W każdym razie mam taką nadzieję.

- I ja również - zgodził się Qui-Gon. Zwolnił, żeby SonTag mogła dotrzymać mu kroku.

W sali konferencyjnej czekała na nich VeerTa. Ubrana była w szaroniebieski uniform górnika; wyglądała na zniecierpliwioną.

- To spotkanie to strata czasu - oznajmiła bezceremonialnie Qui-Gonowi. - Korporacja złoży nam parę miłych obietnic, po czym je złamie.

- Jestem tu po to, żeby do tego nie dopuścić - odpowiedział. Podobała mu się zapalczywa VeerTa. Miał nadzieję, że rozmowy potoczą się pomyślnie - ze względu na nią i ze względu na Bandomeer.

Drzwi otworzyły się i do sali weszła Clat'Ha, dyrektor arcońskiego przedsiębiorstwa górniczego. Qui-Gon powitał ją skinieniem głowy. Kobieta odwzajemniła ukłon; na chwilę spoczęło na nim przyjazne spojrzenie jej intensywnie zielonych oczu. W czasie lotu na Bandomeer zawarli coś w rodzaju przymierza i miał nadzieję, że tu nadal będzie ono obowiązywać.

Odczekali kilka minut, ale przedstawiciel Korporacji nie pojawił się. Hutt Jemba zginął w drodze na Bandomeer, nikt więc nie wiedział, kim okaże się nowy przedstawiciel. Struktura władzy Korporacji okryta była tajemnicą. Nie wiadomo nawet, kto stoi na jej czele.

W końcu zirytowana SonTag wskazała na leżące poduszki.

- Właściwie możemy zaczynać - uznała. - Jeśli próbują nas zastraszyć, to ja nie dam się na to nabrać.

Wszyscy zajęli miejsca, a poduszki uniosły się na odpowiednią wysokość. Clat'Ha i VeerTa zaczęły składać SonTag sprawozdanie z pracy kopalni. Qui-Gon słyszał ich rozmowę, ale jego uwagę pochłaniało coś bardziej istotnego. Wyczuwał w Mocy jakieś zawirowanie. Dostroił się do niego, niepewny, co ono oznacza. Te drobne jak zmarszczki na wodzie fale ciemności były ostrzeżeń... ale przed czym ostrzegały?

Drzwi otworzyły się gwałtownie i stanął w nich młody mężczyzna w lśniącej czarnej pelerynie, podszytej granatem tak ciemnym, że też niemal czarnym. Na jego policzku widniała blizna: przerwany okrąg.

Qui-Gon i przybysz skrzyżowali spojrzenia. Nastąpiła pełna napięcia chwila. A potem, ku zaskoczeniu Qui-Gona, Xanatos uśmiechnął się radośnie.

- A więc to jednak ty, stary przyjacielu! Nie śmiałem na to liczyć. - Xanatos podszedł bliżej, przystojny, budzący respekt. Czarne włosy opadały mu swobodnie na ramiona, niebieskie oczy były równie ciemne jak peleryna. Powitał SonTag po meeriańsku i uklonił się.

- Pani gubernator, muszę przeprosić za spóźnienie. Mój pojazd utknął w burzy jonowej, ale zapewniam, że

dotarcie na czas było dla mnie rzeczą niezwyklej wagi. Nazywam się Xanatos i reprezentuję Korporację.

SonTag uniosła dłonie w powitalnym geście.

- Widzę, że zna pan już Qui-Gona.

- Tak, miałem to szczęście, że mogłem go poznać. Nie widzieliśmy się od lat. - Xanatos uklonił się Rycerzowi Jedi.

Qui-Gon zauważył, że nie było w tym ukłonie szyderstwa, jedynie szacunek. A jednak było w nim też coś, czemu nie ufał.

- Dostałem twoją wiadomość tuż po wylądowaniu - powiedział obojętnym tonem.

- Dowiedziałem się, że oddelegowano cię z Coruscant do tego zadania - wyjaśnił Xanatos. - Właśnie mianowano mnie przedstawicielem Korporacji, wiedziałem więc, że się spotkamy, i bardzo mnie to uradowało.

Qui-Gon uważnie obserwował młodego człowieka. Z jego słów przebijała szczerść. O co tu chodzi?

Widzę, że mi nie ufasz - zauważył Xanatos, przeszywając Qui-Gona przenikliwym spojrzeniem swych granatowych oczu. - Wciąż jesteś tak samo czujny. Ale przecież zdarzało się, że uczniowie porzucali ścieżkę Jedi, nie zasługując sobie na twoją nieufność?

- Wiesz, że każdy uczeń może odejść, kiedy tylko ze chce - odpowiedział niewzruszonym tonem Qui-Gon.
-Jeśli odchodzą honorowo, nie rodzi się żadna nieufność.

- Odszedłem honorowo. Tak było dla mnie najlepiej, dla Jedi zresztą też - odrzekł cicho Xanatos. - Okazało się, że nie potrafię tak żyć. A jednak nie żałuję. Nie był mi przeznaczony los Rycerza Jedi. - Uśmiechnął się do pozostałej trójki. - Cenię sobie szkolenie, jakie przeszedłem pod kierunkiem Jedi, ale nie przygotowało mnie ono na wstrząs, jakim był powrót do zewnętrznego świata. Muszę przyznać, że błądziłem przez kilka lat. Wtedy właśnie widziałem się z Qui-Gonem.

„Błądziłem”? - zdziwił się Qui-Gon. Czy tak właśnie myślał o tym Xanatos?

- Ale zmieniłem się. Dzięki Korporacji, która dała mi szansę. - Xanatos pochylił się do przodu, utkwiał wzrok w VeerCie. - Dlatego właśnie cię podziwiam, VeerTo. Korporacja przysłała mnie, żebym ci powiedział, że nie będzie przeszkadzać ci w realizacji twoich planów. Wszyscy skorzystamy na tym, że Bandomeer będzie bogatsza, bardziej stabilna. - Dotknął ręką piersi. - Podziwiam cię za to, co robisz, bo i ja kocham swoją planetę. Telos na zawsze za mieszkała w moim sercu.

Spojrzał na SonTag.

- Może jeśli Korporacja przeznaczy dziesięć procent swoich zysków na rekultywację planety, przekona to pani go naszych szczerych intencjach?

SonTag wyglądała na zupełnie oszołomioną. Qui-Gon wiedział, że nawet dziesięć procent zysków Korporacji to olbrzymia suma. A Korporacja nigdy jeszcze nie przeznaczyła żadnej części swoich zysków na jakikolwiek szczytny cel.

Za tą propozycją musiało kryć się jakieś oszustwo. Nie wierzył w jej szczerść. Ale też widział, że Xanatosowi udało się zjednać sobie SonTag i VeerTę. Tylko Clat'Ha wyglądała na nie przekonaną, ale ona mogła mieć więcej powodów, by wątpić w uczciwość Korporacji; w końcu sama miała z nią niedawno do czynienia.

W tym momencie Xanatos zorientował się, co sobie o nim myśli Clat'Ha, bo na nią właśnie obrócił swoje przenikliwe ciemnoniebieskie oczy.

- Zgodziłem się pracować dla Korporacji pod warunkiem, że zmieni ona styl działania. Metody polegające na ograbianiu planet ze wszystkiego i porzucaniu ich, gdy są już spustoszone, są nie do przyjęcia. Nasze postępowanie na Bandomeer posłuży za przykład politycznych zmian, których postanowiliśmy dokonać.

SonTag kiwnęła głową.

- To mądra decyzja. A Bandomeer będzie wdzięczna Korporacji za pomoc...

Wtem salą wstrząsnęła potężna eksplozja. VeerTa upadła na podłogę. Nim pozostali zdążyli zareagować, Qui-Gon zerwał się z miejsca i chwycił miecz świetlny.

Zorientowawszy się, że wybuch miał miejsce poza pałacem, podbiegł do okna. VeerTa podniosła się i stanęła obok.

Z początku panoramę leżącego w dole miasta zupełnie przesłaniała wielka czarna chmura. Potem zerwał się wiatr i widoczność poprawiła się.

Z placu przy jednej z kopalni wznosił się słup dymu. Qui-Gon ujrzał gruz pozostały po jakiejś dużej budowli. Jeden z szybów runął, drugi sterczał pod niebezpiecznym kątem. Teraz na ich oczach powoli przechylił się jeszcze bardziej i zawalił, niszcząc jakiś zaniedbany budynek, zapewne kwatery robotników. Jedi widział, jak z ruin niezdarne wybiegają przerażeni katastrofą ludzie. Wiedział, że inni zostali w środku, schwytani w pułapkę.

Rozległo się piskliwe zawrodo syren alarmowych. Stojąca za jego plecami Veerta zachwiała się i chwyciła parapetu, żeby nie stracić równowagi.

- To Kopalnia Planetarna - wyszeptała.

ROZDZIAŁ 5

To nie ja zacząłem - mówił Xanatos po każdej bójce między nim a innym uczniem. W niebieskich oczach chłopca płonęły wtedy szczerłość i żal.

A Qui-Gon, jak ojciec, zawsze starał się mu uwierzyć.

VeerTa zacisnęła dłonie w pięści. Krzyknęła zdławionym głosem i rzuciła się na Xanatosa.

Nikt nie zauważył, żeby Qui-Gon się poruszył, ale nagle Jedi stanął jakimś cudem jej na drodze i powstrzymał ją. Atakowanie Xanatosa nie miało sensu. Qui-Gon wiedział - z własnego doświadczenia - jaki niebezpieczny i nieprzewidywalny potrafi być w walce.

VeerTa usiłowała się wyzwolić z jego żelaznego uścisku.

- Wy to zrobiliście! - Krzyknęła do Xanatosa. - Zapłacicie za to!

Obok stanęła Clat'Ha. Na zewnątrz wydawała się opanowana, w jej oczach widać było taką samą jak u VeerTy wściekłość.

- Oczywiście, że to oni zrobili - stwierdziła pogardliwie. - To do nich pasuje. Tchórze!

Xanatos pobladł.

- Zapewniam, że Korporacja nie miała z tym nic wspólnego. Jestem pewien, że zostanie to udowodnione...

- Dość tych kłamstw! - krzyknęła VeerTa. Ponownie spróbowała go zaatakować.

- Zachowajmy spokój - powiedziała z naciskiem Son-Tag. - VeerTo, idziemy do kopalni. Ktoś tam na pewno potrzebuje pomocy.

- Górnicy... - jęknęła VeerTa i wybiegła z sali.

Qui-Gon oglądał już kiedyś skutki wybuchów. Zawsze był to okropny widok: śmierć, okaleczone ciała, rozpacz. Krew zmieszana z popiołem i łzami. Nie wiedział, dlaczego właśnie ta tragedia wydaje mu się gorsza od innych. Może dlatego, że górnicy wykuli tę kopalnię w żywej skale; pracowali właściwie bez wynagrodzenia i nie mieli zbyt wielkiej nadziei na przyszłość, którą zresztą z trudem tylko mogli sobie wyobrazić.

Ciała układali na placu. Qui-Gon nieustrudzenie wynosił z ruin kolejne ofiary. Czterdziestu górników zostało pod ziemią; akcja ratunkowa była trudna i ryzykowna.

Ładunek odpalono w jednym z tuneli. Główny budynek zarządu został całkowicie zniszczony, podobnie jak znajdujące się obok kopalni domy mieszkalne. Zanim przenieśli rannych do ośrodków medycznych, zdążyło się ściemnić.

Wreszcie skończyli; nic więcej nie mogli zrobić. Clat'Ha zawołała Qui-Gona do jednego z ocalałych budynków, żeby coś zjadł i odpoczął. Dołączył przy stole do niej i VeerTy, ale byli zbyt zmęczeni i przygnębieni, by tknąć jedzenie.

-To koniec naszych marzeń - powiedziała VeerTa. Twarz miała brudną od ziemi i błota.

- Nieprawda - sprzeciwiła się łagodnie Clat'Ha. - Oni tego właśnie chcą, ale my wszystko odbudujemy.

Drzwi otworzyły się i do środka weszła SonTag. Ona także pomagała tego dnia w akcji ratunkowej. Jej czerwono-złoty strój był brudny i zachlapany krwią.

- Znamy już przyczynę wybuchu - oznajmiła cichym głosem. - To nie Korporacja. W tunelu na niższym poziomie zebrał się gaz.

VeerTa uniosła się z miejsca.

- Niemożliwe! - zawołała. - Przecież mamy czujniki...

- Czujnik nie zadziałał - wyjaśniła SonTag. - Zwykła awaria. Inżynierowie są o tym przekonani.

Clat'Ha i VeerTa spojrzały na nią z niedowierzaniem.

- A więc to nasza wina? - spytała bezbarwnym głosem VeerTa.

- Obawiam się, że na to wygląda - odparła gubernator. - Czy to możliwe, żeby czujnik został celowo uszkodzony?

VeerTa zaprzeczyła ruchem głowy.

- Kopalnia jest pod strażą dwadzieścia cztery godziny na dobę.

SonTag rozłożyła ręce w geście bezradności.

- W górnictwie trzeba się liczyć z usterkami technicznymi.

Qui-Gon nie był jednak taki pewien, czy SonTag ma rację. Coś się tu nie zgadzało.

Zapukano do drzwi. To jeden z górników przyszedł przekazać SonTag jakiś list. Przeczytała go i zgmiotła w dłoni.

- Zła wiadomość? - spytała Clat'Ha.

- Nie, po prostu zaskakująca - powiedziała wolno SonTag. - Xanatos zaproponował pomoc Korporacji przy odbudowie kopalni. Pieniądze, roboty, co tylko zechcemy,

i zakwaterowanie robotników, którzy stracili dach nad głową, w budynkach Korporacji.

- Więc jednak nie kłamał - stwierdziła ze zdziwieniem VeerTa.

Qui-Gona zaniepokoiła ta wiadomość. Uznał, że jeśli to pułapka, jest ona kosztowna i niezwykle wymyślna. Czyżby dla Xanatosa stawka była aż tak wysoka? Chyba nie zadałby sobie tyle trudu tylko po to, żeby się na nim zemścić.

Miejsce rozmów zmieniono w ostatniej chwili. Główny budynek został całkowicie zniszczony. Gdyby nie to, że SonTag zmieniła zdanie, wszyscy już by nie żyli.

Xanatos grał w jakąś grę. Qui-Gon żałował tylko, że nie wie, co jest jej celem.

Pewien był tylko jednego: w przypadku Xanatosa gry nie miały żadnych zasad.

ROZDZIAŁ 6

Obi-Wan się nudził. Pomyślał, że jeśli będzie musiał zrobić jeszcze jedną Trasę Zarodnikową, zacznie krzyczeć. Wiedział, że Korpus Rolnictwa ma ważne zadanie do wykonania. Ale co on tutaj robi?

Pośrodku brunatnego, spieczonego słońcem pustkowiec Korpus wybudował gigantyczną budowlę w kształcie kopuły. Wokół niej stały laboratoria naukowe i kwatery pracowników. Do laboratoriów i pomieszczeń administracyjnych wchodziło się z samej kopuły. Wszyscy tu pracowali dla dobra planety. Nikomu z zewnątrz nie pozwalano na kontrolowanie prowadzonych tutaj badań, a dokonywane odkrycia nie były wykorzystywane do celów komercyjnych.

Obi-Wan byłby nawet zainteresowany działalnością Strefy, gdyby jego przewodnik, Meerianin imieniem RonTha, nie okazał się najnudniejszą istotą, jaką spotkał w życiu. RonThę fascynowały takie rzeczy, jak szczepki czy

kiełkujące nasiona. Potrafił godzinami mówić o nich monotonnym, bezbarwnym głosem, I mówił.

Jedynym promykiem słońca w tym wszystkim było to, że Obi-Wan miał spotkać się ze swoim przyjacielem Si Treembą, Arconianinem, którego poznał w drodze na Bandomeer.

Arconianie przychodzili na świat w gniazdach i wychowywali się w zwartych społecznościach. Nie mieli zbyt wysoko rozwiniętego poczucia własnej tożsamości i rzadko zawierali znajomość z obcymi. Jednak Si Treembę połączyła z Obi-Wanem silna więź przyjaźni. Razem walczyli z Huttami i togoriańskimi piratami. Decyzja, by stanąć po stronie Obi-Wana przeciwko przywódcom Korporacji, niemal kosztowała Arconianina życie, ale to dzięki niej Si Treemba odkrył, że jest odważny.

Obi-Wan ruszył w stronę budynku administracyjnego, gdzie miał się spotkać z RonThą i Si Treembą. Zobaczył czekającego już na niego przyjaciela i podbiegł, by się z nim przywitać.

- Dobrze cię znów widzieć, przyjacielu - powiedział, ściskając obie ręce Si Treemby. Arconianin miał silne, węzowate ciało o szczupłych rękach i nogach.

- Radujemy się wielce ze spotkania z tobą, Obi-Wanie - odpowiedział Si Treemba; w jego dużych, jarzących się

wewnętrznym blaskiem oczach widać było zadowolenie. Arconianie rzadko używali pierwszej osoby liczby pojedynczej, a właściwie prawie nigdy.

Clat'Ha przysłała tu Si Treembę, żeby nadzorował badania Korpusu nad daktylitem. Arconianie potrzebowali tego żółtego kryształu do życia, a Korpus pracował nad metodą dodawania go do niektórych produktów żywnościowych. Podróżujący samotnie osobnik tej rasy był czymś niezwykłym, ale też Si Treemba był niezwykłym Arconianinem. Clat'Ha wiedziała, że może na nim polegać.

Podszedł do nich RonTha. Sprawdził coś na ekranie elektronicznego notesu.

- Dziś czeka nas obchód północnej części kopuły - oznajmił swoim bezbarwnym głosem. - Obejrzymy wiele fascynujących doświadczeń przeprowadzanych na nasionach. Trzymajcie się cały czas blisko mnie i niczego nie dotykajcie.

RonTha poprowadził ich w głąb budowli. Oświetlało ją sztuczne słońce, a właściwie umieszczony wysoko w sklepieniu bardzo silny reflektor. Na zewnątrz rozciągało się rozległe brunatne pustkowia, tu jednak zewsząd otaczało ich szeleszczące zboże i zielona trawa. Wokół krzątali się ogrodnicy niosący jakieś sadzonki i pojemniki z nasionami.

Oszołomieni światłem i gorącem, Obi-Wan i Si Treemba szli za RonThą, który wymieniał przeprowadzane pod kopułą eksperymenty.

- Od tego całego gadania o jedzeniu robimy się głodni - szepnął do Obi-Wana Si Treemba.

- Jeszcze jak - zgodził się Obi-Wan. Przełknął ślinę, widząc przed sobą zagajnik, a właściwie sad. Na poskręcanych gałęziach drzew wisały duże złociste owoce. Były tak blisko, że mogliby je zerwać.

Nieduże urządzenie elektroniczne u pasa RonThy zaczęło migotać. Przewodnik wyłączył je.

- Wzywają mnie do budynku zarządu - wyjaśnił. - Możecie rozejrzeć się po okolicy, jeśli chcecie, tylko nie schodźcie ze ścieżki, i niczego nie dotykajcie! - przypomniał i odszedł szybkim krokiem.

Obi-Wan przyjrzał się owocom.

- Myślisz, że kiedy mówił, żeby niczego nie dotykać, miał na myśli owoce? - zapytał Si Treembę.

Arconianin zakołysał nerwowo trójkątną głową.

- Trudno powiedzieć.

- Eee, chyba nie. - Obi-Wan rozejrzał się i szybko sięgnął po żółty owoc. Rzucił go Si Treembie, po czym zerwał drugi dla siebie.

- Naprawdę nie powinniśmy tego robić - powiedział Si Treemba, wbijając zęby w owoc.

- Mmmm. - Zajęty jedzeniem Kenobi machnął tylko lekceważąco ręką.

Miąsz był słodki i soczysty, ale miał też kwaskowaty posmak. Był to najpyszniejszy owoc, jaki zdarzyło mu się skosztować.

- Poszukajmy lepiej miejsca, gdzie nie rzucalibyśmy się w oczy i moglibyśmy zjeść w spokoju - podsunął.

W tej samej chwili Si Treemba usłyszał odgłos kroków. Wymienili pełne poczucia winy spojrzenia - obaj mieli pełne usta. Obi-Wan skinął głową, pokazując, żeby schowali się za drzewami.

W polu widzenia pokazało się kilku ogrodników z koszami. Szli w kierunku sadu.

-Oho - szepnął Obi-Wan. - Lepiej zabierajmy się stąd. - Nie chciał, żeby jego misja wpędziła go w kłopoty natury dyscyplinarnej. Miał już dość problemów w czasie lotu z Coruscant na Bandomeer.

- Ej! - zawołał jeden z ogrodników. - Wy dwaj!

Si Treemba zakrztusił się i upuścił owoc. Zaczął uciekać, ale się potknął. Obi-Wan pomógł mu wstać i razem popędzili przez sad. Wypadli na pole i Obi-Wan wepchnął Si Treembę w wysokie zboże.

- Będziemy musieli przedostać się na drugą stronę pola, na główną ścieżkę - wysapał.

Biegli wzdłuż rzędów kłosów, szukając wyjścia. Pole było znacznie większe, niż im się z początku zdawało. Widzieli tylko zieleń otaczającej ich roślinności i błękit sztucznego nieba nad głową. Wreszcie wypadli na otwartą przestrzeń. Obi-Wan poślizgnął się na czymś wilgotnym i błotnistym, stracił grunt pod nogami i upadł. Si Treemba poleciał za nim. Coś ochlapało im twarze i ubrania i wreszcie wylądowali na wielkiej kupie jakiejś mazi.

- Co tak śmierdzi? - spytał Si Treemba, ocierając oko.
- Gorzej niż bantha w upalny dzień.

- Chyba nawóz - jęknął Obi-Wan, wygrzebując się z kompostu. Rozejrzeli się dookoła. Za nimi rosło zboże; przed sobą mieli gołą ścianę.

Coś w tej ścianie niepokoiło Obi-Wana. Była wysoka i bardzo gładka, a kawałek za górą nawozu zakrzywiła się i znikła z pola widzenia.

Podszedł bliżej i przyłożył do niej rękę. Powierzchnia była chłodna jak metal. Kiedy cofnął rękę, ujrzał ze zdziwieniem, że pod jego dotykiem ściana stała się na moment przezroczysta. Trwało to tylko ułamek sekundy - za krótko, żeby zdołał zajrzeć do środka.

- Co ty wyprawiasz? - zapytał niecierpliwie Si Treemba

i wydał arcoński syk oznaczający niepokój. - Chodź, bo jeszcze umrzemy tu od tego smrodu.

Nie zauważył, co się stało ze ścianą. Może więc chodziło o Moc?

- Chwileczkę - powiedział Obi-Wan. - Wydaje mi się, że jest stąd inne wyjście.

Ostrożnie powiódł dłońmi wzdłuż ściany, obserwując ją uważnie, usiłując trafić na właściwe miejsce i ponownie zobaczyć przebłysk przejrzystości. Nie zetknął się dotąd z metalem, który by tak reagował. Wreszcie znalazł to, czego szukał - szczelinę w ścianie. Przebiegł po niej palcem. Drzwi.

Przyłożył do nich dłonie i skupił się na otaczającej go energii życia: zboża, owoców, ludzi - całej tej przebogatej organicznej wyspy, jaką było wewnątrz kopuły.

Nagle cała ściana zrobiła się przezroczysta. Si Treemba aż się zachłysnął. Odgradzona przestrzeń ciągnęła się aż do zewnętrznej ściany kopuły. W środku Obi-Wan zobaczył worki z nawozem i różnej wielkości dziwne skrzynie.

- To tylko magazyn - zauważył szczerze rozczarowany Si Treemba.

Pomieszczenie wyglądało całkiem niewinnie. Czemu więc było tak przemyślnie ukryte? Obi-Wan zręcznie

pchnął drzwi. Usłyszał cichy elektroniczny sygnał i drzwi otworzyły się przed nim.

Si Treemba ponownie zasyczał nerwowo. Zamrugał jasnymi, świecącymi oczyma.

- Jesteś pewien, że powinniśmy tam wchodzić?

- Ty zostań - polecił chłopiec. - Uważaj, czy ktoś nie idzie. Zaraz wracam.

Ledwo wszedł do magazynu, ściany na powrót straciły przezroczystość, zupełnie jakby znalazł się we wnętrzu białego sześcianu. Schylił się, żeby obejrzeć nalepki na skrzyniach. Były to czarne trójkąty z hologramem w kształcie statku kosmicznego orbitującego wokół czerwonej planety.

Obi-Wan natychmiast rozpoznał ten symbol - Korporacja Pozaplanetarna. Pochylił się, żeby przeczytać oznakowanie na bocznej ścianie skrzyni. Przesuwał się od jednej do drugiej, czytając etykiety. Materiały wybuchowe. Turbo-wiertła. Detonatory. Narzędzia do drążenia tuneli. Granaty biotyczne. Sprzęt górniczy. Ale przecież znajdowali się na chronionym obszarze, na terenach Korpusu Rolnictwa, któremu absolutnie nie wolno było angażować się w żadne przedsięwzięcia nastawione na zysk. Czyżby ktoś z jego pracowników był w zмовie z Korporacją?

- Pośpiesz się, Obi-Wan! - zawołał Si Treemba. - Cuchniemy obrzydliwie! Chcemy wziąć prysznic!

Obi-Wan zobaczył w kącie jeszcze jedną niedużą skrzynkę, która poprzednio uszła jego uwagi. Nie miała etykiety, tylko służący za zamek metalowy symbol: przerwany okrąg.

Uznał, że na razie zobaczył dość. Wymijając skrzynie, podszedł do drzwi.

- No i co? - dopytywał się Arconianin.

- Schowek Korporacji - odpowiedział Obi-Wan. - Korporacja coś knuje.

Zielonkawa skóra Si Treemby pobladła, przybierając matowoszary odcień.

- Tutaj? Przecież nie ma tu wstępu.

- A od kiedy to zakazy coś dla niej znaczą? - spytał posępnie Obi-Wan. - Wracajmy. Będę musiał porozumieć się z Qui-Gonem.

* * *

- Chcesz powiedzieć, że nie masz zamiaru nic zrobić?
- upewnił się Obi-Wan. Przed nim chwiało się miniaturowy hologram Qui-Gona.

- Nic nie można zrobić - rzekł Qui-Gon. - Mówisz, że ściana zrobiła się przezroczysta pod wpływem Mocy?

- W życiu czegoś takiego nie widziałem - odparł Obi-Wan. - A ty?

Jedi zignorował jego pytanie.

-To interesująca informacja, nic więcej. Tak naprawdę nie ma żadnego dowodu na to, że Korporacja wtrąca się do badań Korpusu.

Obi-Wan miał ochotę zawyć ze złości.

- Ona tam w ogóle nie ma wstępu! Powinienem wrócić do Bandoru. Korporacja coś szykuje... jakąś dużą akcję. Musimy to zbadać!

- Wręcz przeciwnie - odpowiedział rzeczowym tonem Qui-Gon. - Masz zadanie do wykonania: sporządzić raport z pracy Korpusu Rolnictwa.

A co z tym przerwanym okręgiem na skrzynce? - dopytywał się chłopiec.

- Obi-Wanie, wykonuj polecenia - upomniał go surowo Jinn. - Jeśli trafisz na dowody jakichś wykroczeń, skontaktuj się ze mną natychmiast. Nie podejmuj samodzielnie żadnych działań.

- Qui-Gonie...

- Słyszałeś, co powiedziałem?

- Słyszałem - odparł niechętnie Kenobi.

- No właśnie. Muszę już niestety kończyć. Informuj mnie o wszystkim.

Hologram zamigotał srebrzyście i zniknął. Obi-Wan patrzył w miejsce, gdzie przed chwilą unosił się w powietrzu wizerunek Qui-Gona. Jedi po raz kolejny zatrzaskał mu drzwi przed nosem.

ROZDZIAŁ 7

Kiedyś okrąg był cały. Kiedyś wszystko było takie, jakie się wydawało. Kiedyś nie było żadnych tajemnic.

Przerwany okrąg. Czy Obi-Wan się pomylił? Czy też może Xanatos rzeczywiście miał coś wspólnego z Korpusem Rolnictwa?

Nie mógł powiedzieć chłopcu, o co chodzi. Obi-Wan zażądałby odpowiedzi, których Qui-Gon nie miał ochoty udzielać. Lepiej nie wracać do przeszłości.

Poza tym chłopiec powinien nauczyć się cierpliwości.

Qui-Gon ruszył w stronę Kopalni Planetarnej. Zdumiewające, ile tu już zrobiono od wybuchu. Według planu kopalnia miała być gotowa do pracy za tydzień. Korporacja dotrzymała obietnicy i przysłała pieniądze i roboty. Te ostatnie usunęły już gruz z tuneli i teraz podpierały zagrożone stropy.

Z drugiej strony placu pomachała do niego Clat'Ha. Szła z robotnikami pod ziemię. Od wybuchu prawie nie spała i nie jadła.

Qui-Gon otworzył drzwi do prowizorycznego biura - postawionego naprędce metalowego baraku. Przy monitorze pozwalającym nadzorować przebieg operacji siedziała VeerTa. Kiedy okręciła się na krześle, zauważył na jej twarzy podniecenie.

- Dobre wieści - oznajmiła ściszym, podekscytowanym głosem. - Eksplozja wyświadczyła nam wielką przysługę, Qui-Gonie. Wybuch miał miejsce bardzo głęboko pod ziemią, pod naszymi tunelami. Dzięki niemu odkryliśmy żyłę jonitu.

Qui-Gon był pod wrażeniem tej informacji. Jonit był jednym z najcenniejszych minerałów w galaktyce.

- Wiesz, co to znaczy? Nikt jeszcze nie znalazł jonitu na Bandomeer. Ilości śladowe, owszem. Ale wydobywa się tu głównie lazuryt. - VeerTa pochyliła się do przodu, nie odrywając od niego wzroku. - Kopalnia Planetarna będzie jedynym dostawcą. Potencjalne zyski są ogromne. Powinno wystarczyć na rekultywację całej planety.

- Dobre wieści - zgodził się ostrożnie Qui-Gon. Odkrycie cennego minerału to jedno, panowanie nad tym, kto go wydobywa, to drugie.

- Już widzisz trudności - zauważyła przytomnie Veer-Ta. - A więc będzie trzeba zachować to w tajemnicy. Nie powiedziałam nawet członkom zarządu. Wie tylko Clat'Ha. Jeśli Korporacja się dowie, z łatwością wyeliminuje nas z interesu i sama położy łapę na tej żyłę. Wybuch zniszczył wszystkie nasze zapasy lazurytu. Formalnie biorąc, spotkało nas bankructwo.

- Jakie są wasze plany? - spytał Qui-Gon.

- Dzięki Korporacji mamy pieniądze - odpowiedziała Veer-Ta. - Co prawda, dała je, żeby pomóc nam w odbudowie i w ten sposób pozyskać sobie nasze zaufanie. Ale możemy je wykorzystać do wydobywania jonitu. Potrzebujemy tylko kilku tygodni, aby puścić wszystko w ruch. Potem Korporacji nie uda się już nas powstrzymać.

W oczach VeerTy płonęła determinacja. Qui-Gon pozwolił, by udzielił mu się jej entuzjazm. Ale jednocześnie usiłował zgadnąć, dlaczego Veer-Ta dopuszcza go do tajemnicy. Czekał; wiedział, że usłyszy więcej.

- Pokażę ci, co znaleźliśmy - powiedziała Veer-Ta, wstając.

Poszedł za nią do kopalni. Dała mu ochronny kask i zaprowadziła do południowego szybu windy.

- Rejon K jest bezpieczny - zapewniła. - Udało nam się już umocnić stropy na poziomie szóstym. Ze wskazań czuj-

ników wynika, że to właśnie pod nim biegnie ta nowa żyła. Tak głęboko jeszcze nie kopaliśmy.

„K-7, poziom 6”. Zaskoczony Qui-Gon spojrzął na panel sterowania windą. W miarę jak zjeżdżali coraz niżej, zapalały się na nim kolejne lampki. Poziom 10. Poziom 9. Poziom 8. Poziom 7...

Nocny koszmar powrócił z całą swoją mroczną siłą.

Czy jest coś takiego jak poziom 5? - Zapytał. VeerTa pokręciła głową.

- Nasza technologia nie pozwala zejść tak nisko. To za blisko płaszczą planety Korporacja dysponuje takimi rozwiązaniami technicznymi, ale gdybyśmy chcieli wykupić od nich prawa, dalibyśmy im znać, że coś się święci. Liczymy na to, że wystarczy nam jonit z poziomu szóstego. Kontrolka przy napisie „Poziom 6” rozbłysła i kabina stanęła.

Qui-Gon wyszedł z windy i już miał ruszyć w lewo, kiedy VeerTa powstrzymała go:

- Tam tunel jest zupełnie zablokowany.

Przestawiła umieszczony obok drzwi wyłącznik i zapaliły się wpuszczone w kamienną ścianę światła. Qui-Gon zobaczył, że korytarz jest wąski i nisko sklepiony, a środkiem podłogi biegnie pneumatyczna szyna. Kawalek dalej skręcał w lewo i niknął w atramentowych ciemnościach.

Odbite od granatowych skał światło było blade i miało lekko niebieskawy odcień; sprawiała to obecność lazurytu.

- Clat'Ha i ja zjechałyśmy na dół, żeby obejrzeć zniszczenia - ciągnęła VeerTa. - Szyb windy w północnym tunelu został uszkodzony, ale za kilka dni powinien być na chodzie. Najpierw musimy odblokować ten tunel.

Skręciła w prawo i poprowadziła go w głąb kopalni, do miejsca, gdzie drogę zagraadzał stos kamieni, a w podłożu tunelu ział otwór powstały w wyniku eksplozji.

- Wybuch musiał zapoczątkować reakcję gazów zebranych pod tym poziomem - wyjaśniła. - W tym miejscu gaz przebił się wyżej. - Schyliła się, podniosła z ziemi odłamek i zarysowała go paznokciem. Qui-Gon zobaczył przyćmiony srebrzysty poblask. - Clat'Ha zauważyła ten efekt, więc zabrałyśmy trochę materiału do zbadania. Miała przeczucie i nie pomyliła się. Jonit. Spuściliśmy czujniki, żeby sprawdzić, ile go jest.

- Będziecie musieli uważać - rzekł Qui-Gon. - Jeśli Xanatos się dowie...

VeerTa kiwnęła głową.

- Dlatego właśnie cię potrzebujemy. Chcielibyśmy, że byś został członkiem zarządu Kopalni Planetarnej. Wtedy Korporacja nie ośmieli się z nami zadrzeć; musiałaby wystąpić przeciwko Jedi.

Qui-Gon zaczął kręcić głową, zanim jeszcze Meerianka skończyła mówić.

- Rycerzom Jedi nie wolno angażować się w żadne przedsięwzięcia przynoszące zysk. Nie możemy czerpać dochodów z ochrony, jaką zapewniamy innym. To niewzruszona zasada.

- Ależ pomyśl, ile by ci to przyniosło pieniędzy! - odpowiedziała natarczywym tonem VeerTa. - Nie musiałbyś przecież zatrzymywać ich dla siebie. Mógłbyś ofiarować je na jakiś szczytny cel.

- Przykro mi, VeerTo - powiedział stanowczo Qui-Gon. - Pomogę, na ile zdołam. Ale w tej sprawie nie licz na mnie.

VeerTa wyglądała na zawiedzioną. Najwyraźniej nie rozumiała, na czym polega rola Rycerzy Jedi.

- A więc będzie mi to musiało wystarczyć - stwierdziła. Powiodła wzrokiem po sztolni i oczy jej zabłyśły. - To nasza przyszłość. Modlę się, żeby się nam udało.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby tak się stało - zapewnił Qui-Gon. Coś mu mówiło, że nie będzie to łatwe zadanie.

ROZDZIAŁ 8

Obi-Wan zrelacjonował Si Treembie rozmowę z Qui-Gonem. Arconianin kiwnął głową, jakby się tego spodziewał.

- Clat'Ha powiedziałyby to samo- stwierdził. - Potrzeba nam więcej dowodów.

-Tak właśnie sobie pomyślałem - powiedział Obi-Wan.

Si Treemba kaszlnął nerwowo.

- Kiedy ostatni raz widziałem u ciebie taki błysk w oku, wylądowaliśmy w huttyjskim więzieniu.

- Spokojnie - powiedział Obi-Wan. - Po prostu będziemy mieli dziś w nocy magazyn na oku. Zrobimy sobie mały spacer po Strefie i zawędrujemy w tę okolicę. Co tu może nie wypalić?

- Wszystko - jęknął Si Treemba.

Obi-Wan i Si Treemba wyciągnęli się płasko pomiędzy dwoma rzędami kłosów na skraju pola. Żeby się zamasko-

wać i nie zmarznąć, naciągnęli na głowy zieloną brezentową płachtę.

-Właściwie możesz się przespać - zaproponował Obi-Wan. - Będę czuwał pierwszy.

- Skoro tak mówisz - wymamrotał Si Treemba. Zamknął oczy i po chwili zaczął wydawać normalny u śpiącego Arconianina dźwięk, przypominający pociąganie nosem.

Z początku obserwowanie magazynu wywoływało u Obi-Wana dreszcz emocji, ale już po godzinie i jemu zaczęły zamykać się oczy. Nie wolno mu było zasnąć! Postanowił, że wybierze się na rekonesans; to go obudzi.

Wyślizgnął się na otwartą przestrzeń, wstał, otrzepał się i ruszył w stronę drzwi do schowka. Chciał jeszcze raz obejrzeć sobie tę zapieczętowaną skrzynkę z przerwany okręgiem. Coś mu podpowiadało, że Qui-Gon rozpoznał ten symbol. Może uda się ją otworzyć, tak by nikt nie zauważył, że ktoś przy niej majstrował.

Ponownie użył Mocy do otworzenia drzwi. W środku wszystko wyglądało tak jak przedtem. Podszedł do skrzynki.

Był już prawie przy niej, gdy usłyszał za sobą jakiś dźwięk. Odwrócił się i zobaczył idącą w jego stronę zakapturzoną postać. W pierwszej chwili pomyślał, że to

owinięty w brezent Si Treemba. Potem dotarło do niego, że to ktoś obcy, ubrany w czarną pelerynę.

- Kim jesteś? - zapytał. Czuł w Mocy coś niepokojącego, jakby drobne zawirowanie ciemności.

- Przyjacielem - odpowiedział tamten. - Kimś, kto był kiedyś tym, kim ty jesteś. - Odrzucił kaptur. Miał przyjazne niebieskie oczy. - Ja też byłem kiedyś jego uczniem.

- Uczniem Qui-Gona? - spytał podejrzliwie Obi-Wan. - Tak naprawdę to nie jestem jego Padawanem. Poza tym wszyscy mówią, że jego Padawan nie żyje.

- Tak mówią? A przecież stoję tu przed tobą. Co jeszcze mówią?

- Że Padawan Qui-Gona zhańbił Zakon Jedi - odpowiedział Obi-Wan. - I że zdradził Qui-Gona.

W oczach mężczyzny zapłonął granatowy ogień.

- Qui-Gon opowiada takie rzeczy? - Stężałe rysy jego twarzy złagodniały. - Byłem jego Padawanem, więc wiem, przez co przechodzisz każdego dnia, Obi-Wanie Kenobi. Wiem, na co czekasz. Na jego aprobatę. Jego zaufanie. Ale on nie daje ci ani jednego, ani drugiego. Otacza się murem obojętności. Im bardziej starasz się go zadowolić, tym bardziej się oddala.

Obi-Wan nie odpowiedział. Czuł się tak, jakby obcy wyjął mu te słowa prosto z serca. W tych najgorszych chwilach tak właśnie myślał.

Xanatos popatrzył na chłopca ze współczuciem.

- Yoda jest z niego zadowolony. Polega na nim Senat Galaktyczny. Wszyscy ubiegają się o to, żeby zostać jego uczniem. Ale to zły mistrz, najgorszy. Odmawia uczniowi swojego zaufania, a wymaga od niego wszystkiego.

Słowa docierały do Obi-Wana z daleka, jakby był w transie. „Ile w tym prawdy?” - pomyślał. Głęboko w duszy chłopca drgnął uśpiony gniew. Bał się tego gniewu bardziej niż jakiegokolwiek wroga.

- Jestem Xanatos - powiedział mężczyzna. - Czy kiedykolwiek wspomniał ci o mnie?

Obi-Wan pokręcił głową. Xanatos uśmiechnął się ze smutkiem.

- Nie - powiedział cicho. - To by do niego nie pasowało. A więc to ja będę musiał opowiedzieć ci, co mi zrobił. Jak mnie szkolił, jak trzymał mnie u swego boku, jak obiecywał, że osiągnę więcej, zostanę Jedi. A w końcu złamał wszystkie obietnice. Z tobą będzie tak samo, Obi-Wanie.

Czy to możliwe? Czy w beznamiętnym spokoju Qui-Gona mogły kryć się ziarna zdrady? Obi-Wan nieraz zetknął

się z jego chłodną powściągliwością, ale zawsze zakładał, że to dlatego, iż Qui-Gon nie przyjął go na ucznia. Co kryło się za skrytością rycerza: zło czy dobro?

- Po co mi to mówisz? - spytał nieufnie.

- Żeby cię ostrzec - odpowiedział Xanatos. - Po to przyszedłem. Będziesz... - Urwał nagle i podniósł w górę dłoń. - Ktoś idzie - szepnął.

Do środka wpadło pięciu strażników. Obi-Wan zauważył na ich mundurach naszywki w kształcie czerwonej planety. Korporacja! Co robiły tutaj, pod kopułą, siły bezpieczeństwa Korporacji Pozaplanetarnej?

- Mamy złodziei - powiedział do komunikatora jeden z mężczyzn.

- To pomyłka - zaprotestował Kenobi. - My tylko... Ale Xanatos zdążył już dobyć miecza. Zaskoczony Obi-Wan patrzył, jak były uczeń Qui-Gona rusza do ataku. Taką broń nosili tylko Rycerze Jedi. Strażnicy chwycili miotacze, pozbawiając chłopca wyboru. Błyskawicznie zapalił swój miecz świetlny i włączył się do walki.

Ciężar trzymanej w ręce broni dodawał otuchy. Wytrącił miotacz jednemu ze strażników; wiedział, że Qui-Gon wolałby, żeby żadnego nie zabił - sytuacja w Banderze nie była dobra i taki wypadek mógłby ją jeszcze bardziej pogorszyć.

Walczył więc defensywnie, podczas gdy Xanatos kontratakował, celując w żywe ciało. Ale i on nie miał chyba ochoty zadać śmiertelnego ciosu.

Trochę wyszedł z wprawy, od kiedy ukończył szkolenie, bo pozwolił, by strażnicy zapędzili go do rogu. Teraz zbliżali się do niego z miotaczami w rękach. Obi-Wan wskoczył na stos skrzyń i rzucił się na nich z góry, tnąc powietrze rękami i nogami. Dwóch ludzi Korporacji padło na ziemię, oddając jednocześnie strzały, i chłopiec poczuł w ramieniu piekący ból. Mimo to udało mu się kopnąć miotacz trzeciego strażnika i wytrącić mu go z ręki.

Pozbawiony miotacza strażnik wyciągnął nagle elektroostrze i uniósł je, usiłując dźgnąć Xanatosą. Obi-Wan rzucił się na strażnika, próbując go powstrzymać. Udało mu się to, ale podbite elektroostrze przejechało mu po żebrach. Całe jego ciało przeszyła fala paraliżującego bólu. Na oślep sięgnął po Moc, ale w tej samej chwili ktoś z całej siły uderzył go w plecy. Pociemniało mu w oczach i osunął się na kolana.

Zapamiętał jeszcze upadek na podłogę.

ROZDZIAŁ 9

Teraz Qui-Gon wiedział już, na czym polegały jego błędy. Zamykał oczy na wady Xanatos. Rozpuszczał go. Dawał, nie patrząc. Poniósł porażkę jako Mistrz Jedi, ponieważ za bardzo ufał swemu uczniowi. Pozwolił, by jego sympatia do chłopca przesłoniła mu to, co powinien był dojrzeć na samym początku.

Po zastanowieniu Qui-Gon postanowił, że spyta Son-Tag i VeerTę, czy nie widziały skrzynki takiej jak ta, którą opisał Obi-Wan. Obie wielokrotnie bywały w Strefach Wzbogacania. Może istniało jakieś proste wyjaśnienie znaleziska Obi-Wana.

Opisał im wygląd skrzynki i VeerTa kiwnęła głową.

- Widziałam już coś takiego.
- Ja chyba też - przyznała w zamyśleniu SonTag.
- W Zachodniej Strefie Wzbogacania. Właśnie ostatnio tam byłam.
- A mnie się wydaje, że widziałam taką skrzynkę w Strefie Północnej - rzekła VeerTa. - razem z rozmaitym

innym sprzętem. Jestem pewna, że ludzie Korpusu trzymają w niej jakieś narzędzia.

Właśnie na taką odpowiedź liczył Qui-Gon. Skrzynka z pewnością nie miała większego znaczenia. W innych Strefach była przecież na widoku.

Dlaczego się więc niepokoił?

Może dlatego, że umieszczono ją razem ze sprzętem górniczym Korporacji. W tej sprawie Obi-Wan nie mógł się pomylić.

Po powrocie do swojej kwatery włączył komputer, żeby zdobyć trochę danych na temat Korporacji. Był ciekaw, jaką pozycję zajmował w niej Xanatos. Jego były uczeń w bardzo nietypowy dla siebie sposób nie powiedział o tym ani słowa. Czy gdyby był urzędnikiem wysokiego szczebla, nie przechwalałby się swoją rangą?

Qui-Gon przeszukał bazę danych na temat Korporacji, ale nie znalazł nawet wzmianki o Xanatosie. Co to oznaczało? Albo Xanatos kłamał i w rzeczywistości nie miał z Korporacją nic wspólnego, albo też pozycja, jaką w niej zajmował, otoczona była tajemnicą. Ale dlaczego?

Nacisnął jeszcze kilka klawiszy. Szef przedsiębiorstwa działał anonimowo, ale baza zawierała listę nazwisk członków zarządu. Qui-Gon rozpoznał większość z nich -

byli to przywódcy światów, które Korporacja w praktyce kontrolowała. Marionetki.

Odpowiedzi nie znalazł... na razie jeszcze nie. Ale wiedział już, gdzie ich szukać.

Najwyższy czas złożyć wizytę w siedzibie Korporacji.

* * *

Korporacja nie starała się upiększyć swojego biura na Bandomeer. Budynek - czarna bryła bez okien - wyglądem przypominał otaczające go kopalniane szyby.

Qui-Gon wszedł do holu głównego o wyłożonych lazurytem ścianach. Minerale stanowił jedyną dekorację. Za czarnym sześcianiem, służącym za biurko, leżał pełniący funkcję strażnika Hutt - jego ciało nie mieściło się za biurkiem. Hutt obrócił na Jinna swoje martwe, pozbawione wyrazu oczy.

- Przyszedłem zobaczyć się z Xanatosem - oznajmił Qui-Gon.

-Wynocha - odpowiedział znużonym głosem Hutt. - idź poskarżyć się swoim bezpośrednim przełożonym. Tu i tak nikogo nie ma. Xanatos przeprowadza inspekcję w sektorze północnym. - Strażnik sięgnął po miotacz. To tyle, jeśli chodzi o korporacyjną gościnność.

Qui-Gon ani drgnął. Czerpiąc energię z Mocy, skoncentrował się na przerośniętym tłuszczem mózgu Hutta.

- Może zaczekałbym u niego w gabinecie - powiedział.

- Może zaczekałbyś u niego w gabinecie - powtórzył bezbarwnym głosem Hutt. - Windą służbową na trzydzieste piętro.

- Powinieneś wyłączyć system ochrony - odpowiedział mu Qui-Gon.

Wyłączam cały system ochrony.

Qui-Gon wszedł do windy z napisem „Strefa ograniczonego ruchu”. Była tam tylko jedna kontrolka, oznaczona liczbą trzydzieści. Kabina dotarła do celu w kilka sekund. Jedi wyszedł do holu. Krzesła wykonano z kamienia, za sześciennym biurkiem nikogo nie było. Nie widział żadnych drzwi, tylko gołe ściany.

Goła ściana...

Przyłożył do niej dłoń. Cofając ją, zauważył błysk przezroczystości.

W pamięci ożyła mu opowieść Obi-Wana. Jakiś czas temu czytał, że na Telos, rodzinnej planecie Xanatos, osiągnięto podobny poziom technologii. Niedawno naukowcom udało się powlec transpastalę warstwą specjalnej substancji, która czyniła ją nieprzezroczystą. Wytworzenie

impulsu termoelektrycznego przywracało transpastali jej normalną przejrzystość.

Przylgnął całym ciałem do ściany i od razu stała się przezroczysta. Qui-Gon zobaczył wnętrze gabinetu. Ale gdzie były drzwi?

Zaczerpnął Mocy, poczuł wzbierającą w nim falę energii i przezroczystość objęła całą ścianę. Jednocześnie otworzyły się ukryte drzwi. Ledwo przekroczył próg, ściana stała się z powrotem nieprzejrzyista.

„Sprytne” - pomyślał, podchodząc do ogromnego kamiennego biurka. Xanatos mógł przed wejściem kontrolować wnętrze gabinetu. Gdyby komuś udało się prześlizgnąć przez system zabezpieczeń i dostać do pokoju, nie miałby się gdzie schować.

Jakie to podobne do Xanatososa. Zarazem coś ukryć i odsłonić. Qui-Gon zdążył już zapomnieć, jaką inteligencję przejawiał jego uczeń w sprawach tajemnic. Ujawniał coś, sugerując, że powiedział całą prawdę. Ale ta ujawniona informacja była zawsze błaha. Najważniejsze sekrety Xanatos zachowywał dla siebie.

Kamienne biurko było jedynym sprzętem w pomieszczeniu. Nacisnął klawisz i z blatu wysunął się komputer. Qui-Gon włączył system. Zgodnie z jego oczekiwaniami korzystał on z holograficznej prezentacji plików.

Pojawiła się lista zbiorów. Przejrzał pospiesznie katalog. Nie bardzo wiedział, czego szuka. Znalazł plik dotyczący Kopalni Planetarnej i otworzył go, ale nie było w nim żadnych użytecznych informacji - tylko kwota pieniędzy i spis robotów pożyczonych Kopalni po wybuchu. Qui-Gon zamknął plik.

I wtedy zobaczył katalog bez nazwy. Tam, gdzie powinna się ona znajdować, widniała tylko ikona: dwa nakładające się przerwane złote okręgi. Serce zaczęło mu bić szybciej. Symbol można było odczytać także jako litery OC.

Offworld Corporation. Korporacja Pozaplanetarna.

Qui-Gon spróbował wejść do anonimowego katalogu, ale hologram zapulsował tylko ostrzegawczą czerwienią.

- Proszę o hasło - usłyszał.

Zawahał się. O ile znał Xanatos, będzie miał tylko jedną szansę na podanie poprawnego hasła. Jeśli mu się nie uda, Xanatos z pewnością dowie się, że ktoś próbował się włamać.

Musi zaryzykować.

- Crion - powiedział, podając imię ojca Xanatos.

Komputer wyświetlił zawartość katalogu. Qui-Gon przebiegł wzrokiem listę plików. Ku jego konsternacji wszystkie okazały się zakodowane. Nie miał czasu, żeby

złamać szyfr, a gdyby usunął jakiś plik, Xanatos dowiedziałby się, że ktoś u niego myszkował.

Ale i tak znalazł to, po co przyszedł. Qui-Gon w zamyśleniu zamknął system. Dwa przerwane okręgi tworzyły inicjały Korporacji. Być może ktoś inny uznałby to za zbieg okoliczności, on jednak wiedział, że gdy chodziło o Xanatos, nie było mowy o przypadku. Instynkt podpowiadał mu, że znalazł człowieka, który stoi na czele Korporacji Pozaplanetarnej. Być może nawet to Xanatos ją założył. Ale czemu miałby trzymać to w tajemnicy? „Żeby dysponować większym polem manewru” - domyślił się Qui-Gon. Jego uczeń zawsze wolał dochodzić do celu podstępnie i ukradkiem. Pytanie brzmiało następująco: o co chodzi Xanatosowi?

ROZDZIAŁ 10

Oui-Gon był pewien, że Xanatos jest gotowy. Znał go od lat; obserwował, jak chłopiec staje się mężczyzną. W swojej klasie był niedościgłym mistrzem miecza świetlnego. W sztuce czerpania z Mocy zrównał się ze swoim mistrzem. Przeszedł testy z niemal idealnymi wynikami. Oui-Gon z radością zobaczyłby go jako Rycerza Jedi. Był z niego dumny.

Ale Yoda nie był taki pewien. Orzekł, że Xanatos przejdzie jeszcze jedną, ostatnią próbę.

W powietrzu przed Oui-Gonem unosił się holograficzny wizerunek Yody. Połączenie działało bez zakłóceń. Yoda zamrugał ciężkimi, opadającymi powiekami - co wyglądało tak, jakby był znudzony - ale jednocześnie poruszył długimi uszami, w czym Oui-Gon rozpoznał oznakę zdziwienia.

- A zatem być może, że Xanatos wielkie zło planuje, powiadasz? - rzekł Yoda. - Dobrze, że to odkryłeś, Oui-Gonie, tak. Ale na reakcję jeszcze nie czas.

Podejrzewam, że on ma zamiar przejąć władzę na

Bandomeer - odparł Qui-Gon. - Tej planety nie stać na wojnę. Trzeba zapobiec walce.

- Ale twoim celem bezpieczeństwo jest, hmm? A to po wolnych posunięć wymaga. Dowodów nie masz - zauważył mistrz. - Plików nie udało ci się przejrzeć.

- Udało mi się przejrzeć jego. Xanatosą.

- Aha, aż taki pewien jesteś? W sprawie Xanatosą zawsze byłeś pewien.

Qui-Gon zamilkł. Na swój spokojny sposób mistrz Yoda udzielił mu upomnienia. Rzeczywiście, był pewien Xanatosą. Bronił go za każdym razem, gdy Yoda dawał mu łagodne ostrzeżenia dotyczące ucznia.

- Za długo od przeszłości się odgradzałeś, Qui-Gonie - powiedział po chwili milczenia Yoda. - Teraz przed nią uciekasz. Ale to już długo nie potrwa; wkrótce odwrócić się i stanąć do walki będziesz musiał.

- Skoro tak mówisz, mistrzu. - Qui-Gon usiłował ukryć zniecierpliwienie. Z wysiłkiem próbował zastanowić się nad mądrymi słowami Yody. Lekceważenie jego rad jeszcze nigdy nikomu nie wyszło na dobre.

- Wykorzystać taktykę Xanatosą przeciwko niemu musisz - poradził Yoda. - Bawi się z tobą. Na razie przestrzegać zasad gry będziesz, tak. Miejsce na popełnienie błędu

mu dasz i powinię mu się noga. Sztuka polega na tym, żeby zaczekać na to.

- Tak - odparł Qui-Gon - teraz to widzę. - Już miał przerwać połączenie, kiedy Yoda uniósł dłoń.

Jeszcze jedno - powiedział. - pytanie do ciebie mam.

Dlaczego nie mówisz Obi-Wanowi całej prawdy, Qui-Gonie? On nie wie o tym, jak sędzę. A przecież, choć w innym miejscu, na ten sam ślad co ty wpadł.

- To prawda - przyznał Jinn. - Ale nie ma potrzeby, żeby dowiedział się już teraz. To by go naraziło na niebezpieczeństwo. Robię to dla jego dobra.

- Kiedy mistrz akceptuje ucznia, uczeń akceptuje niebezpieczeństwo - odpowiedział Yoda.

- Zapominasz, że Obi-Wan nie jest moim uczniem - zareplikował chłodno Qui-Gon. - Po prostu jesteśmy akurat na tej samej planecie, a to różnica.

Yoda wolno pokiwał głową.

- Różnica w zaufaniu, tak. Ty myślisz, że łatwiej przeszłość niż przyszłość zmienić.

Qui-Gon poczuł przyływ irytacji. -To nielogiczne - powiedział. - Nie da się zmienić przeszłości.

- Nilogiczne, racja - zgodził się Yoda. - Więc czemu tak myślisz? - Wciąż kiwając głową, przerwał połączenie.

Qui-Gon stanął obok wychodzącego na wschód - na Bandor - okna. Jak zwykle, rozmowa z Yodą sprawiła, że zaczął podawać w wątpliwość własne motywy. Dlaczego odrzucił propozycję pomocy ze strony Obi-Wana? A jeśli, nie ostrzegając go przed Xanatosem, wystawił chłopca na jeszcze gorsze niebezpieczeństwo? Popełnił błąd. I choć czasem dojście do tego wniosku zabierało mu dużo czasu, to uświadomiwszy to sobie, zawsze działał prędko.

Włączył komunikator i wysłał wiadomość do Obi-Wana. Zwykle chłopiec odpowiadał bezzwłocznie. Teraz upłynęło dziesięć minut i Qui-Gon zaczął się niepokoić.

Nadał wiadomość do Si Treemby i również nie dostał odpowiedzi. Zamknął oczy i zebrał Moc. I wtedy to poczuł, coś mrocznego, coś jakby pustkę. Obi-Wan był w niebezpieczeństwie.

Ktoś zaczął walić do drzwi. Qui-Gon poszedł otworzyć, wiedząc już, że czeka go zła wiadomość.

W korytarzu stała Clat'Ha. Lśniące rude włosy miała w nieładzie, z zielonych oczu wзираł niepokój.

- Właśnie rozmawiałam z Si Treembą - oznajmiła bez wstępu. - Obi-Wan zniknął.

ROZDZIAŁ 11

Póki miał zamknięte oczy, słyszał szum morza. A może tak mu dudniło w skroniach?

Obi-Wan ostrożnie otworzył oczy. Znajdował się w podłużnym, wąskim, nisko sklepionym pomieszczeniu. Wzdłuż ścian ciągnęły się rzędy szerokich łóżek. W nogach każdego z nich leżała zwinięta pościel. Był sam. Jego miecz świetlny gdzieś zniknął, podobnie jak komunikator.

Ktoś obandażował mu żebra i ramię i założył coś na szyję. Chłopiec pomacał to. Coś jakby obręcz albo obroża. Gładka w dotyku, raczej bez zapięcia, które pozwoliłoby ją zdjąć. Może było to jakieś urządzenie wspomagające proces leczenia.

Uniósł głowę i natychmiast syknął głośno z bólu. Oddychał powoli, narzucając myślom spokój, tak jak go nauczono. Przyjął swój ból. Przyjął go jak przyjaciela, mówiącego mu, że jego ciało zostało zranione.

Podziękował mu za zwrócenie na to jego uwagi, i skoncentrował wolę na zdrowieniu.

Ból zelżał odrobinę już po chwili, pozwalając Obi-Wa-nowi wstać. Wysoko w górze zauważył wąskie okno. Starając się nie stracić równowagi, stanął na palcach na jednym z łóżek i wyjrzał na zewnątrz.

Ogarnęła go czarna rozpacz. Za oknem kilometrami ciągnęło się bezkresne szare morze. Nie zobaczył ani skrawka lądu. Żadnych statków. Tylko wielką platformę i jej wysokie, wyrastające z wody szyby.

Od razu domyślił się, gdzie jest - na Wielkim Morzu Bandomeer, zajmującym połowę powierzchni planety. Zapewne na jakiejś dalekomorskiej platformie wydobywczej. O kopalniach dalekomorskich krążyły tylko pogłoski; nie mówiło się o nich głośno. Życie było na nich surowe i niebezpieczne; wielu górników nie wracało z takich miejsc.

- O, więc już nie śpisz.

Obi-Wan odwrócił się, zaskoczony. W drzwiach stała wysoka postać o bardzo smutnym wyglądzie. Miała białe obwódki wokół oczu i ciemne skórę, która wyglądała tak, jakby łuszczyła się białymi płatami. Ręce tej istoty były nieprzeciętnie długie - sięgały poniżej kolan - i wydawały się zrobione z gumy.

- Jak się czujesz? Martwiłem się o ciebie - powiedział stwór, ale zanim Obi-Wan zdążył odpowiedzieć, zachichotał i zawołał: - Skłamałem! To nieprawda!

- Kim jesteś? - spytał Kenobi. W głowie mu się zakręciło, zmusił więc umysł do odzyskania jasności. Ostrożnie zszedł na podłogę.

- A co cię to obchodzi? Nazywam się Guerra. Jestem Phindianinem. Różni tu trafiają, najróżniejsi. A skoro już o tym mówimy, to rusz się, mały Człowieku.

Guerra bez ostrzeżenia wyrzucił rękę przed siebie, sięgnął nią między dwa łóżka i zacisnął dłoń na nadgarstku Obi-Wana.

- Spiesz mi się do roboty. Jak ci zaraz nie wydam sprzętu, przyjdą po nas strażnicy z elektroostrzami i tyle będzie.

- Jakiego sprzętu?

- Jakiego sprzętu? Do spędzania wakacji na księżycu syngijskim! - Guerra zarechotał. - Nieprawda, skłamałem! Górniczego, oczywiście.

-Ale ja nie jestem górnikiem - zaprotestował Obi-Wan.

Phindianin pociągnął go w stronę drzwi.

- Och, tak mi przykro. W takim razie nie musisz pracować - pogardliwie wykrzywił swą dziwną plamistą twarz.

- Możesz za to wylecieć z platformy, jeśli chcesz. Będzie ci się wspaniale pływało...

- Skłamałeś? - zgadł Obi-Wan.

Guerra zachichotał i walnął go w plecy, aż chłopiec upadł na ziemię.

- Niezłe, mały Człowieku! Skłamałem! Wylecisz i się utopisz! Chociaż nie, i tak nie dolecisz żywy do wody! Przedtem zostaniesz zabity! No, chodź.

Wypchnął Obi-Wana przez drzwi. Chłopiec poczuł na twarzy uderzenie zimnego wiatru. Wokół leżał w stosach sprzęt górniczy. Jakieś roboty usiłowały zaciągnąć wiertła do windy, w której czekali robotnicy. Na całej platformie pełno było patrolujących teren strażników z elektroostrzami i miotaczami.

Kiedy wspinali się po schodach na drugi poziom, Obi-Won zauważył, że platforma jest znacznie większa, niż mu się pierwotnie wydawało, mniej więcej tak duża jak średniej wielkości miasto. Otaczał ją pierścień zwykłych platform dalekomorskich, pomiędzy którymi przemykały poduszki.

Guerra wepchnął go do magazynu. Przetarł oczy, żeby obejrzeć sprzęt, i przy okazji powiększył sobie białe plamy wokół oczu. Obi-Wan zorientował się, że w rzeczywistości

skóra Guerry jest całkiem jasna. Był po prostu pokryty brudem i pyłem kopalnianym.

Guerra zauważył jego spojrzenie.

- Pysznic raz na miesiąc - wyjaśnił. - Ale kogo to obchodzi? Sam tak będziesz niedługo wyglądał, mały Człowieku.

- Ja nie jestem górnikiem - powtórzył Obi-Wan. - Zostałem porwany. Jestem...

Guerra wybuchnął śmiechem, uderzył się wielkimi dłońmi po kolanach.

- Porwany? Ależ to okropne! Zaraz powiadomię straż! Och, znowu skłamałem! A ty myślałeś, że jak ja tu trafiłem? Zgłosiłem się może na ochotnika? Nie widzisz, że wszyscy tu jesteśmy niewolnikami? Po pięciu latach dostaniesz dość pieniędzy, żeby odlecieć z planety i zacząć od nowa. Jeśli pożyczysz pięć lat. Mało komu się to udaje.

- Pięć lat? - Obi-Wan przełknął ślinę.

Taką się podpisuje umowę - wyjaśnił Guerra. - Będzie ci potrzebny kombinezon ciepły. Kask. Trochę narzędzi...

Ale ja nie podpisywałem żadnej umowy!

Guerra znów się roześmiał, przymierzył do Obi-Wana jakiś kombinezon i odrzucił go - za mały.

- Przestań dowcipkować, mały Człowieku, rozpraszasz mnie! A ja podpisywałem? Umowy się fałszuje!

- Nazywam się Obi-Wan Kenobi. Jestem uczniem Rycerza Jedi.

- Jedi, Fedi, Dedi, Smedi - zaśpiewał bez sensu Guerra. - Nieważne kim jesteś. Możesz być sobie nawet księciem Coruscant. Tu i tak nikt cię nie znajdzie. - Rzucił Obi-Wanowi inny kombinezon. - Ten będzie musiał wystarczyć. No, to teraz poszukamy kasku.

Chłopiec zacisnął kurczowo palce na kombinezonie, poplamionym i wilgotnym. Nie mógł sobie wyobrazić, że miałby go na siebie włożyć. Już i tak przemarzył do szpiku kości. Znowu zaczęło mu łomotać w głowie; dotknął jej ostrożnie. Z tyłu czaszki wyczuł pod palcami guz i włosy zlepione krwią. Żebra płonęły żywym ogniem.

Potem przypomniał sobie o obręczy, którą miał na szyi, i pomacał ją.

- Czy to służy do leczenia?

Tym razem Guerra zatoczył się do tyłu, przewrócił i wylądował na stosie kombinezonów. Śmiał się tak nieprzytomnie, że aż zaczął się dławić.

- Znowu mnie rozśmieszasz, co, Obawanie? Do leczenia! - Zaniósł się śmiechem, po czym odchrząknął. - Nic podobnego! To jest obroża elektryczna. Jeśli spróbujesz

opuścić platformę, to bum! - Zamachał gumowatymi rękami. - Wylatujesz w powietrze!

Obi-Wan niepewnym ruchem dotknął obroży.

- Strażnicy mogą nas wysadzić?

- Nie strażnicy - wyjaśnił coraz bardziej rozradowany. Guerra. - Obroże kontroluje się z kontynentu. Wiesz, na wypadek buntu. Bo gdybyśmy tak przypadkiem obezwładnili strażników, moglibyśmy je rozebrać, kapujesz? Więc nie, strażnicy nie mogą nas wysadzić. - Phindianin uśmiechnął się do niego uprzejmie. - Mogą nas tylko pobić, powystrzelać, ogłuszyć i wyrzucić za burtę.

- Co za ulga - mruknął Obi-Wan.

Guerra wyszczerzył w uśmiechu jaskrawożółte zęby.

- Podobasz mi się, Obawanie. Będę uważał, żeby ci się nic nie stało. Ha! Nieprawda, znowu skłamałem! Ja nikomu nie ufam i nikt nie ufa mnie. A teraz pośpiesz się, zanim strażnicy przyjdą nas ogłuszyć. - Szturchnął lekko chłopca, wydał syczący dźwięk i wybuchnął śmiechem. - Nie smuć się tak, Obawanie. I tak pewnie nie dożyjesz do jutra!

Obi-Wan niechętnie naciągnął kombinezon. Chwycił kask i zapiął pas, do którego przypinało się narzędzia. Nie miał wyboru. Jeszcze nie. Ale będzie musiał obmyślić sposób ucieczki. Guerra powiedział, że nikomu jeszcze się

to nie udało, ale też nigdy nie mieli tu Jedi. W każdym razie miał taką nadzieję.

Oczyścił umysł z niepotrzebnych myśli, odepchnął od siebie rozpacz i strach. Skupił się na zapiętej wokół szyi obroży. „Chyba będę mógł użyć Mocy, żeby ją otworzyć?” - pomyślał.

Skoncentrował się, zbierając Moc z otoczenia i wywierając nacisk na obrożę. Zaprzągnął do pracy każdy gram swojego szkolenia i dyscypliny. Ale urządzenie uparcie brzęczało sygnałem elektrycznym.

Może jest za słaby. Musi poczekać na właściwy moment.

O ile przeżyje...

Wychodząc z powrotem na zewnątrz, zobaczył, jak jeden z górników się potknął, a strażnik ogłuszył go za karę strzałem z paralizatora, I jak miał przeżyć coś takiego?

„Na razie przestrzegać zasad gry będziesz, tak”.

Usłyszał te słowa wyraźnie. Słowa mistrza Yody. Sam dźwięk jego głosu odegnał rozpacz, dodał mu odwagi.

Obi-Wan podniósł głowę. Był Jedi. Będzie przestrzegał zasad gry. I przeżyje.

ROZDZIAŁ 12

To będzie nasza ostatnia misja. - Tylko tyle pozwolił mu Yoda powiedzieć Xanatosowi. „A kiedy dobiegnie końca, zostaniesz Rycerzem Jedi”.

Si Treemba nic nie wiedział. Clat'Ha powiedziała Qui-Gonowi, że kiedy Arconianin się obudził, strażnicy Korporacji zabierali właśnie gdzieś nieprzytomnego Obi-Wana. Rycerzowi aż się serce ścisnęło, kiedy to usłyszał.

Si Treemba nie widział nikogo, kto przypominałby Xanatosowi, ale Qui-Gon i tak wiedział, że ten musiał mieć z tym coś wspólnego. W końcu nie było go wtedy w Bandorze, a przecież nie mógł to być zbieg okoliczności. Potem dowiedział się od SonTag, że Xanatos właśnie wrócił do miasta.

Yoda powiedział mu, żeby nie dążył do bezpośredniej konfrontacji z Xanatosem, ale powiedział tak, zanim Obi-Wan został uprowadzony, a zasady gry uległy zmianie.

Naturalnie Qui-Gon powinien najpierw porozumieć się z Yodą, poinformować go, jak zmieniła się sytuacja, i czekać na decyzję Rady. Postanowił jednak tego nie robić.

Miał dość odgrywania roli pionka na cudzej szachownicy. To było coś więcej niż tylko gra. Xanatos usiłował go sprowokować, zmusić do jawnej konfrontacji - a teraz jeszcze wplątał w to chłopca.

Podstawowym słabym punktem Xanatososa jako ucznia była nadmierna pewność siebie. Miał nadzieję, że się to nie zmieniło.

Qui-Gon wiedział, że Xanatos przeprowadza inspekcję w największej korporacyjnej kopalni lazurytu, położonej na przedmieściach Bandoru. Poszedł tam i poczekał do zmroku.

Obserwował, jak Xanatos wychodzi z małego budynku administracyjnego, mieszczącego zarząd kopalni i stojącego obok zakładu hutniczego. Dopiero co nastąpiła zmiana szycy i w pobliżu nie było górników. Urzędnicy też poszli już do domów - na to właśnie liczył Qui-Gon.

Na placu walały się stosy żużlu. Korporacja zupełnie nie zwracała sobie głowy dbaniem o porządek na terenie swoich kopalni. Ciemnoszare niebo przechodziło powoli w czerń, ale na placu nie zapalono jeszcze latarni, przy-

puszczalnie z oszczędności. Robotnik, który spóźnił się na swoją zmianę, musiałby dojść do kopalni po omacku.

Qui-Gon zaczekał, aż Xanatos przejdzie przez plac, po czym wyszedł z cienia żuźlowej hałdy, stając mu na drodze.

Xanatos zatrzymał się. Na jego twarzy nie było zasko-

czenia. On nie pozwoliłby sobie na okazanie go, nawet o zmroku i na pustym placu, stanąwszy ni stąd, ni zowąd oko w oko ze swoim najdawniejszym wrogiem.

Qui-Gon nie spodziewał się u niego zaskoczenia.

- Jeśli masz jakieś plany co do Bandomeer, powinieneś wiedzieć, że jestem tu po to, żeby cię powstrzymać - rzekł.

Xanatos odrzucił płaszcz na ramię, niedbałym gestem położył rękę na rękojeści miecza świetlnego. Odchodząc z Zakonu i jednocześnie zatrzymując broń, pogwałcił jedną z jego najważniejszych zasad.

Poklepał ręką miecz.

- Owszem, wciąż go mam. W końcu ćwiczyłem przez wszystkie te lata. Czemu miałbym oddawać go jak złodziej, skoro zasługuję na to, żeby go nosić?

' - Ponieważ już na to nie zasługujesz - odpowiedział Qui-Gon. - Przynosisz mu hańbę.

Krew uderzyła Xanatosowi do twarzy. Słowa Qui-Gona były celne. Potem jednak rozluźnił się, uśmiechnął.

- Widzę, że wciąż trudny z ciebie człowiek, Qui-Gonie. Kiedyś mi to przeszkadzało. Teraz mnie bawi.

Zaczął krążyć wokół Jinna.

- W końcu łączyła nas przyjaźń, coś silniejszego niż związek mistrza i ucznia.

- To prawda - przyznał Qui-Gon, naśladując jego ruchy. - Tak było.

- Tym więcej miałeś powodów, żeby mnie zdradzić, nadużyć mego przywiązania. Przyjaźń nic dla ciebie nie znaczy. Moje cierpienie sprawiało ci przyjemność.

- To ty zdradziłeś, I to ty znajdowałeś przyjemność w cudzym cierpieniu. To właśnie poznałeś na Telos: przyjemność, jaką daje ból. Yoda to przewidział; dlatego wiedział, że ci się nie uda.

- Yoda! - Xanatos wręcz wypluł to imię. - Ten mały troll sięgający mi do kolan! Wydaje mu się, że ma moc. Nie śniło mu się nawet o dziesiątej części mocy, jaką poznałem!

- Poznałeś? - zapytał spokojnie Qui-Gon. - A skąd znasz taką moc, Xanatosie? Ty, człowiek Korporacji, pracownik średniego szczebla wypełniający wolę zarządu?

- Ja nie wypełniam niczyjej woli, prócz mej własnej.

- Po to tu jesteś, prawda? Czy Bandomeer to sprawdzian twoich możliwości?

- Ja nie przystępuję do sprawdzianów - warknął Xanatos. - Ja ustalam zasady. Bandomeer należy do mnie. Wystarczy, żebym wyciągnął rękę i ją sobie wziął.

Zacieśnił krąg. Jego płaszcz załopotał i musnął Qui-Gona.

-To taka mała planetka. Zupełnie bez znaczenia z galaktycznego punktu widzenia. A przecież rodzi skarby, sypie je do moich wyciągniętych rąk. Gdybyś tylko wyzbył się tych nieznośnych zasad Jedi, też skorzystałbyś z jej skarbów. Ale nie, Qui-Gon jest ponad to. Nie można go skusić. Niczym.

- Bandomeer nie jest twoją własnością. - Qui-Gon odsunął się od Xanatosa na odległość wyciągniętego ramienia. - Zawsze byłeś zbyt pewny swego i tym razem posunąłeś się za daleko.

-Jeszcze nie. - Granatowe oczy Xanatosa zabłyśły. Dobył miecza. - Teraz, owszem, posunę się za daleko.

Miecz Qui-Gona ożył w ułamku sekundy. Zanim Xanatos przymierzył się do zadania pierwszego ciosu, Qui-Gon zaczął już wykonywać ruch, którym miał go sparować. Ostrza mieczy świetlnych spotkały się, dał się słyszeć syk. Qui-Gon poczuł w ramieniu impet pchnięcia przeciwnika.

Xanatos nie stracił nic ze swoich umiejętności wojownika. Urósł tylko w siłę; poruszał się oszczędnie i z gracją. Miecz migał mu w dłoni. Uderzał raz za razem, stale zaskakując czymś swego byłego mistrza.

Qui-Gon walczył defensywnie, choć wiedział, że nie uda mu się zmęczyć Xanatosą - zmęczenie przeciwnika było jedną z technik wykorzystywanych przez Rycerzy Jedi.

Styl Xanatosy wykraczał poza fizyczne umiejętności. Qui-Gon czuł, jak potężny jest umysł młodego człowieka. Xanatos nadal czerpał siłę z Mocy; nie z energii światła, lecz ciemności.

Jinn uskoczył na bok, by uniknąć kolejnego ciosu. Xanatos roześmiał się. Qui-Gon uznał, że nadszedł czas na zmianę zasad. Dość obrony, pora przejść do ataku.

Rzucił się na Xanatosą; miecz świetlny śpiewał mu w dłoni. Zadawał jedno uderzenie za drugim, Xanatos parował wszystkie. Powietrze wypełniło się dymem i skwierczeniem. Xanatos znów się roześmiał.

Jedi użył sekwencji cięć, która miała unieruchomić Xanatosą pod ścianą budynku. Ten jednak wskoczył na hałdę, wykręcił w powietrzu salto i wylądował po drugiej stronie rycerza.

- Zniszczyłeś wszystko, co kochałem - rzucił oskarżycielsko. Jego miecz o włos minął ramię Qui-Gona. Klinga

przeszła tak blisko, że aż osmaliła materiał ubrania. - Tego dnia, Qui-Gonie, zabiłeś mnie. Ale ja narodziłem się na nowo. Silniejszy, mądrzejszy. Przerosłem cię.

Ostrza zderzyły się ze sobą, wydając wściekły dźwięk. Qui-Gon czuł napór przeciwnika, ale nie ustępował. Xanatos wyrzucił do przodu stopę, ale Qui-Gon spodziewał się takiego ataku i cofnął się. Xanatos zachwiał się, ale zdołał odzyskać równowagę.

- Praca stóp zawsze była twoją słabą stroną - zauważył cierpko Qui-Gon, wyprowadzając cios w ramię. Xanatos zrobił unik, ale Jinn zdążył uchwycić wypisany na jego twarzy grymas bólu. - Przerosłeś mnie, mówisz? Tak ci się tylko wydaje.

Może przez tę drwiącą uwagę, może przez to, że Qui-Gon zdołał go wreszcie naprawdę zranić - Xanatos odrzucił pelerynę z drugiego ramienia. W dłoni miał drugi miecz świetlny.

Zaskoczony Qui-Gon zdekoncentrował się na moment. Ten miecz mógł należeć tylko do jednej osoby.

- A gdzież się podziewa twój nowy uczeń? - zapytał szyderczo Xanatos.

A więc to on odpowiadał za zniknięcie Obi-Wana. Teraz Jinn był już tego pewien.

Xanatos zrobił fintę w lewo, poszedł w prawo, zatańczył z powrotem na lewą stronę. Qui-Gon pamiętał to posunięcie z pojedynków w Świątyni; bez trudu zablokował uderzenie.

Walczył z przeszłością. Swoją własną przeszłością. Może uda mu się pokonać Xanatos, ale na pewno nie wygrać walkę. W tej chwili liczyła się tylko przyszłość. A przyszłością był Obi-Wan. Przeszłość zaczeka na swoją kolej.

Wiedział, że Xanatos gotów jest poprowadzić tę walkę dalej, gotów, jeśli mu się uda, zadać śmiertelny cios.

Wtem Xanatos zawirował, dał trzy długie kroki po zboczach hałdy, odepchnął się i runął na Qui-Gona z oboma mieczami w rękach. Każdy mięsień jego ciała był napięty. Zbierał się do ostatecznego ataku.

Czekało na niego wyłącznie powietrze. Qui-Gon zrobił unik i wyrwał nie przygotowanemu na to przeciwnikowi miecz Obi-Wana.

A potem, po raz pierwszy w życiu, uciekł z pola bitwy. Musiał odnaleźć Obi-Wana. Biegł przez plac przed kopalnią co sił w nogach; w uszach świszczął mu zimny wiatr.

Usłyszał dochodzący z mgły głos Xanatos:

- Biegnij, tchórze! Przede mną i tak nie uda ci się uciec!

Uczeń Jedi - Jude Watson – 02. Mroczny Przeciwnik

- Chyba mi się właśnie udało! - odkrzyknął. Śmiech Xanatos przejął go lodowatym dreszczem.
- Tylko na razie, Qui-Gonie. Tylko na razie.

ROZDZIAŁ 13

Przez dwie noce i dwa dni Obi-Wan robił, co mógł, żeby wyrzucić Mocą jakiś wpływ na swoją obrożę elektryczną. Jego rany goiły się powoli. Praca w kopalni była fizycznie wyczerpująca.

Górnikom wydawano głodowe racje, ale tych, którzy tracili siły, brutalnie bito. Wszyscy strażnicy byli Imbatami, istotami słynącymi raczej z rozmiarów i okrucieństwa niż inteligencji. Byli wysocy jak drzewa, mieli szorstką skórę i grube nogi zakończone szerokimi, chwytnymi palcami. Głowy mieli nieproporcjonalnie małe w stosunku do ciała, a najbardziej zwracały uwagę ich wielkie oklapnięte uszy.

Robotnicy zjeżdżali windami na dno oceanu. W wąskich tunelach było niebezpiecznie. Często zdarzały się przecieki, a czasem strop korytarza pękał, zatapiając wszystkich, którzy w nim akurat pracowali. Ale najbardziej górnicy bali się, że zużyte powietrze przedostanie się jakoś z powrotem do tuneli. Udusić się to gorzej niż utonąć.

- Czekałem na ten dzień - oznajmił Guerra, kiedy stali w kolejce do windy.

Obi-Wan jęknął w duchu. Wiedział, że jeśli Guerra jest jakoś szczególnie zadowolony, czekają go kłopoty. Phindianin radził sobie z okropnościami górniczego losu, traktując go jak jeden wielki kawał, który ktoś zrobił im wszystkim.

- Dlaczego? - spytał nieufnie.

- Ej, ty! - krzyknął jakiś Imbat. Obi-Wan aż cały zeszywniał, ale strażnik podszedł do Meerianina, który przystanął, żeby poprawić pas.

- Rusz się! Wstrzymujesz kolejkę! - wrzasnął i za machnął się elektroostrzem. Górnik krzyknął coś i osunął się na pokład. Strażnik kopnięciem odsunął go na bok.

- Trzy dni bez żarcia!

Nikt nie próbował pomóc Meerianinowi. Wszyscy wiedzieli, że spotkałoby ich za to takie samo potraktowanie. Obi-Wan wcisnął się do windy razem z Guerra.

- Dzisiaj zjeżdżamy na najniższy poziom - powiedział Phindianin. - Ślady jonitu.

- Co w tym takiego okropnego? - spytał chłopiec.

- Nawet śladowe ilości jonitu zawierają naprzemienny ładunek elektryczny - wyjaśnił Guerra. - Ani dodatni, ani ujemny - jakby go nie było. Prawda! Przyrządy mogą

przestać działać i w razie napływu złego powietrza nie będzie ostrzeżenia. Ale za to praca robi się ciekawsza. Ha! Nieprawda. - Z białych obwódek spoglądały na Obi-Wana żywe żółte oczy.

-W zeszłym tygodniu licznik Biera przestał działać z powodu wysokiego stężenia jonitu - wtrącił inny górnik.

- Bier był na górze, w skafandrze, robił mapę dna. Skończył mu się tlen i nie zdążył wrócić do tunelu.

Obi-Wan patrzył, jak zapalające się kolejno lampki wskazują położenie windy. Sam czuł się tak, jakby go nie było. Zniknął bez śladu. Był głęboko pod dnem morza. Qui-Gonowi w życiu nie przyjdzie do głowy, żeby szukać go w takim miejscu.

A nawet gdyby Qui-Gon wiedział, gdzie go znaleźć... czy pospieszyłby z pomocą? W głowie dźwięczały mu drwiące słowa Xanatosy. Czy Qui-Gon zdradzi go, tak jak kiedyś, według Xanatosy, zdradził własnego Podawana? Pozwoli mu umrzeć?

Obi-Wanowi wydawało się, że nie może być już nic gorszego od rozpaczliwie ciężkiej pracy przez cały dzień. Ale w nocy strażnicy rozluźniali dyscyplinę; górnikom potrzebna była chwila wytchnienia. Ich ulubioną rozrywką

były walki. Nie mieli nic do stracenia, a zakłady stawiało się według skomplikowanego systemu opartego na tym, kto i jak poważnie zostanie okaleczony. Poprzedniej nocy jeden robotnik stracił oko. Obi-Wan nauczył się trzymać z daleka od walczących.

Wyszedł z kwater górników na pokład i zastał tam Guerrę. Było bardzo zimno, ale Phindianin chyba tego nie odczuwał. Leżał wyciągnięty na metalowym pokładzie i obserwował gwiazdy.

- Kiedyś tam wrócę - powiedział.

Chłopiec usiadł obok.

- Jestem pewien, że ci się uda.

- Prawda! Ja też jestem tego pewien - odparł Guerra. Potem szepnął cicho: - Nieprawda.

- Guerra, znasz platformę jak własną kieszeń. Widziałeś na niej kiedyś skrzynkę oznaczoną przerwanym okręgiem?

- Pewnie, prawda - odpowiedział ku zaskoczeniu Obi-Wana. - Dopiero co robiłem remanent. Ta robota przechodzi po kolei z jednej osoby na drugą, żeby nikt nie miał okazji niczego ukraść. Była taka skrzynka w magazynie materiałów wybuchowych. Nie miałem jej na liście, ale strażnicy kazali mi siedzieć cicho. To siedzę. Nie jestem głupi!

- Mógłbyś pomóc mi dostać się do tego magazynu?
Phindianin aż podskoczył.
- Mam nadzieję, że to żart, Obawanie. Za kradzież wylatuje się za burtę!
- Nie chcę niczego ukraść - zapewnił Obi-Wan. - Tylko popatrzeć.
- Guerra uśmiechnął się.
- Świetny pomysł, Obawanie! Idziemy! - Położył się z powrotem. - Nieprawda. Skłamałem. Ja za nikogo nie nadstawiam karku, zapomniałeś?
- A jeśli wiem, jak wyłączyć obrożę? Moglibyśmy ukraść łódź i przedostać się na kontynent.
- Guerra spojrzał na niego z ukosa. -Jeśli to prawda, to czemu jeszcze twoja obroża działa, przyjacielu?
- Potrafię ją wyłączyć. Po prostu czekam na właściwy moment. - Wiedział, że jak tylko całkiem wyzdrowieje, będzie mógł zapanować nad Mocą. Będzie musiał. - Zaufaj mi i bądź cierpliwy.
- Ja nikomu nie ufam - przypomniał cicho Guerra. - Nigdy. To dlatego jestem tu już trzy lata i wciąż żyję.
- Co masz do stracenia? - naciskał chłopiec. - Zaprowadź mnie do strażnika i pokaż, gdzie widziałeś skrzynkę. Jeśli mnie przyłapią, wezmę całą winę na siebie.
- Phindianin pokręcił głową.

- Strażnik nie da nam kluczy. To wbrew przepisom.
- Zostaw to mnie.
- Muszę jeszcze coś sprawdzić - powiedział strażnikowi Guerra. - Potrzebne mi klucze.

Imbat zamachnął się elektroostrzem.

- Zabierać mi się stąd! Albo do wody!

Obi-Wan wezwał Moc. Wiedział, że jest za słaby, żeby wywierać wpływ na fizyczne przedmioty, ale liczył na to, że uda mu się nagiąć do swojej woli ograniczony mózdek Imbata.

- Może to nie taki zły pomysł - powiedział. - Powinniśmy wszystko jeszcze raz sprawdzić.

- Może to nie taki zły pomysł - powtórzył bezmyślnie strażnik i rzucił Phindianinowi elektroniczne klucze. - Sprawdźcie wszystko jeszcze raz.

Guerra wlepił wzrok w Obi-Wana.

- Jak to zrobisz, Obawanie?
- Nieważne. Pośpieszmy się.

Guerra zaprowadził go do magazynu materiałów wybuchowych. Otworzył drzwi i Obi-Wan wszedł szybko do środka.

- Gdzie ta skrzynka? - zapytał. - Pokaż mi tylko i możesz sobie iść.

Guerra przystanął w drzwiach, szeroko otworzył żółte oczy.

- Słyszę kroki - szepnął. - Ktoś biegnie. Strażnicy! Pewnie w drzwiach był alarm.

-Wejdz i zamknij drzwi! - syknął Obi-Wan.

Ale zamiast go posłuchać, Guerra zawołał:

- Jest, jest tutaj! Znalazłem go! - Popatrzył ze smutkiem na chłopca. - Nawet w niebezpieczeństwie za nic nie zdradziłbym przyjaciela. Ale...

- Skłamałeś - dokończył za niego Obi-Wan. A potem do środka wpadli strażnicy.

Guerra wyciąnął rękę, pokazując im chłopca. Jeden Imbat uderzył go elektroostrzem. Obi-Wan upadł z bólu na kolana. Czuł, jak ciągną go do karceru i wrzucają do środka.

Usłyszał, jak jakiś strażnik mówi:

- Karą za kradzież jest wyrzucenie za burtę.

-To koniec mojej zmiany - odparł jego kolega i ziewnął. - Niech sobie poczeka do jutra rana.

ROZDZIAŁ 14

Lot na Telos powinien być przebiegać spokojnie. Yoda znalazł kogoś, kto zgodził się ich tam zabrać, pilota przewożącego do układu Telos ładunek robotów. Już na samym początku doszło do spięć między pilotem a Xanatosem. Stieg Wa był młody, zuchwały i pewny siebie. Od dzieciństwa radził sobie sam; przeżył wiele niebezpiecznych przygód i dobrze mu się wiodło. Zaczął dobrodusznie dokuczać Xanatosowi, mówiąc, że zna on tylko życie w Świątyni, pod kloszem, a nie wie nic o prawdziwym życiu.

Może Yoda przewidział ten konflikt osobowości. Może była to kolejna próba. Qui-Gon ostrzegł ucznia, żeby nie stracił panowania nad sobą i nie dał się sprowokować przyjaznym w gruncie rzeczy przytykiem pilota. Xanatos uśmiechnął się i zapewnił go, że zachowa spokój.

Jedynym zagrożeniem związanym z podróżą był przelot przez układ Landor, opanowany przez piratów. Stieg Wa był przekonany, że uda im się przemknąć niepostrzeżenie;

robił to już wiele razy. Ale kiedy trzy okręty pirackie otoczyły jego statek i nakazały mu się poddać, odkrył, że jeden z najważniejszych wskaźników uległ awarii. Nie zadziałał antyradar.

Stieg Wa oświadczył, że się nie podda, i zaczął uciekać. Wykazując się niespotykanymi umiejętnościami, robił, co mógł, żeby uniknąć miotaczowego ognia. Kiedy już udało im się zgubić piratów, oznajmił, że antyradar nie włączył się z powodu sabotażu, i oskarżył o to Xanatosą.

Qui-Gon, rzecz jasna, uwierzył, kiedy ten zaczął się zarzekać, że nie miał z tym nic wspólnego. Czemu miałby ryzykować, że piraci napadną na statek, na którego pokładzie sam się znajdował?

Stieg Wa był właśnie na zewnątrz i naprawiał antyradar, kiedy wrócili piraci. Został postrzelony i pojmany.

A Xanatos poprowadził Qui-Gona do kapsuły ratunkowej, którą wcześniej zaprogramował na lot na Telos. Kiedy mistrz spytał go, po co podjął aż takie środki ostrożności, uśmiechnął się.

„Na wszelki wypadek zawsze zostawiam sobie jakąś furtkę” - wyjaśnił.

Do świtu brakowało jeszcze godziny, kiedy Qui-Gon wysiadł z pojazdu i ruszył w stronę kopuły Strefy. Zaraz podbiegł doń wysłany mu na spotkanie Meerianin.

- Jestem RonTha. Miło mi powitać...

- Gdzie jest Si Treemba? - przerwał mu rzeczowo Qui-Gon, idąc w kierunku głównego budynku.

Pod... pod kopułą. Czeka na pana - odpowiedział RonTha, usiłując dotrzymać kroku rycerzowi. - Ale musimy przestrzegać przepisów. Musi pan zgłosić się...

- Zaprowadź mnie do niego - zażądał Qui-Gon.

-Ale przepisy...

- Jinn utkwiał wzrok w Meerianinie. Nie musiał używać Mocy - RonTha ugiął się pod ciężarem jego irytacji.

- Tędy - pokazał i pobiegł naprzód.

O obecności Si Treemby dał znać szelest zboża. Na widok Qui-Gona Arconianin wyskoczył na ścieżkę.

- Pilnowaliśmy tego miejsca, od kiedy porwali Obi-Wana - powiedział. - W tym czasie nikt nie wchodził ani nie wychodził.

Qui-Gon spojrzał ze współczuciem na Si Treembę. Arconianin wyglądał na wyczerpanego. Qui-Gon nie zdziwiłby się, gdyby zasnął na stojąco.

- Źle zrobiliśmy, że zasnęliśmy tamtej nocy - orzekł Si Treemba. - Obi-Wan powiedział, że będzie czuwał pierwszy. Nie powinniśmy byli zasypiać...

- Nie czas rozpamiętywać przeszłość - powiedział łagodnie Qui-Gon. - Liczy się tylko teraźniejszość. Musimy znaleźć Obi-Wana. Co widziałeś?

- Niewiele - przyznał Si Treemba. - Zabrało go kilku ludzi w mundurach Korporacji. Poszliśmy za nimi, ale zgubiliśmy ich gdzieś w strefie. - Zwiesił głowę.

Qui-Gon usiłował nie okazać rozczarowania. Si Treemba i tak czuł się wystarczająco źle. Ale jak miał znaleźć Obi-Wana, dysponując tak skąpyimi danymi?

Wtem zauważył, że RonTha jest bardzo zdenerwowany. Meerianin pocił się i w ogóle robił wrażenie, jakby miał ochotę zapaść się pod ziemię.

Qui-Gon poświęcił mu całą uwagę.

- A ty? Widziałeś coś, RonTha?

- Ja? Ależ nie wolno nam przebywać w Strefie po zmroku - zaprotestował RonTha. - To wbrew przepisom.

- Nie odpowiedziałeś mi na pytanie - zauważył uprzejmie Qui-Gon.

- Staram się przestrzegać zasad.

- I zawsze ci się to udaje? - spytał łagodnie Qui-Gon, powstrzymując zniecierpliwienie. - Każdego można skusić, skłonić, żeby złamał zasady.

- Owoce są takie dobre - wyszeptał RonTha. - To tylko mała przekąska przed snem...

- Mów - polecił stanowczo Qui-Gon.

Meerianin przełknął nerwowo ślinę.

- Byłem właśnie w sadzie, kiedy ich zobaczyłem: kilku mężczyzn dźwigających jakiś ciężar. Ktoś ich prowadził, ktoś w czarnym płaszczu...

Qui-Gon skinął zachęcająco głową.

- Najpierw tylko się schowałem. Ale potem zauważyłem, że oni niosą Obi-Wana. Powierzono go mojej opiece, byłem za niego odpowiedzialny! Wiec poszedłem za nimi do nabrzeża.

Qui-Gon zmarszczył brwi.

- Odpłynęli na morze?

RonTha potwierdził ruchem głowy.

- Dwóch mężczyzn; wzięli ze sobą Obi-Wana.

„Dokąd popłynęli?” - próbował zgadnąć Qui-Gon.

Ocean był ogromny, pozbawiony wysp i raf.

- Nic nie mówili? - zapytał.

Nic istotnego - odparł RonTha. - Ale za to coś dziwnego. Jeden z nich powiedział do Obi-Wana, że zobaczy

się z nim za pięć lat, jeśli chłopiec przeżyje. Obi-Wan, ma się rozumieć, nie odpowiedział. Nie odzyskał jeszcze przytomności.

- Pięć lat? - powtórzył Qui-Gon.

- Kopalnie dalekomorskie! - wykrzyknął Si Treemba.

„No jasne” - pomyślał Qui-Gon. Gdzie można by go lepiej ukryć niż na dalekomorskiej platformie górniczej?

- Znajdź mi jakąś łódź Korpusu - polecił Meerianinowi.

- Ale to wbrew prze... - RonTha urwał pod lodowatym spojrzeniem Qui-Gona. - Tak jest - zgodził się. - Natychmiast.

Qui-Gon wyciskał z silnika poduszkowca, ile się tylko dało. Pojazd mknął przez szary ocean, unosząc się ledwo kilka cali nad falami. Meerianinowi udało się podać mu dokładne położenie platformy i wprowadzić współrzędne do komputera pokładowego łodzi. Poza tym RonTha zapewnił go, że platformy nie da się przegapić - jest za duża.

Z początku wyglądała jak nieznacznie ciemniejsza smuga na szarym widnokręgu. W miarę jak Qui-Gon zbliżał się do celu, wyłaniały się z szarości sylwetki szybów i budynków - nieduże miasto na środku morza.

Jedi zogniskował elektrolornetkę na platformę. Patrzył uważnie, szukając Obi-Wana. Wtem zauważył jakieś poruszenie w pobliżu krawędzi. Grupa mężczyzn pchała coś...

Qui-Gon dostroił przyrząd i kurczowo zacisnął na nim palce. To był Obi-Wan! Strażnicy szturchali go tępymi końcami elektroostrzy, popychając na platformę. Chcieli go zepchnąć!

Jinn dodał gazu, ale silnik pracował już na pełnych obrotach. Zrozpaczony, zrozumiał, że jest za daleko. Mógł mieć jedynie nadzieję, że Obi-Wan przeżyje upadek i że uda mu się wyłowić go z wody.

Pędził przed siebie; był coraz bliżej. Chłopiec znajdował się już na samej krawędzi. Qui-Gonowi serce ścisnęło się z bólu. Nie mógł stracić go w taki sposób! Nigdy by sobie tego nie wybaczył.

W tej samej chwili jego uwagę zwrócił jakiś ruch na jednym z niższych poziomów platformy. Ktoś sporządził z brezentu coś w rodzaju sieci i teraz rozpinał ją na podtrzymujących całą konstrukcję przyporach. Pokazały się dwie długie, giętke ręce i ustawiły sieć w powietrzu, między skrajem platformy a morzem.

Obi-Wan runął w dół. Qui-Gon obserwował jego upadek przez lornetkę. Chłopiec miał zacięty, opanowany wy-

raz twarzy; nie było w niej przerażenia. Był zdecydowany walczyć do końca, ale i gotów na przyjęcie śmierci.

Jak Jedi.

Wtedy Obi-Wan dostrzegł w dole sieć. Qui-Gon wyczuł rozchodzące się w Mocy fale, których źródłem był chłopiec? Skoncentrował się na wzmocnieniu ich, na tym, żeby Obi-Wan trafił w sieć.

Wyglądało to tak, jakby Kenobi chwycił się powietrza i w locie skręcił w lewo. Wylądował w samym środku sieci.

Sekundę później te same długie ręce wyciągnęły się po niego i przeniosły w bezpieczne miejsce.

Qui-Gon był już bardzo blisko platformy. Słyszał wściekłe okrzyki strażników, którzy zauważyli, co się stało, i popędzili do windy, żeby zjechać na odpowiedni poziom.

Wyhamował; łódź zakołysała się na fali. Przerzucił linę przez przyporę i mocno przywiązał. Drugą linę zarzucił na podest, na którym zniknął Obi-Wan, sprawdził, czy mocno się trzyma, i wspiął się po niej.

Obi-Wan pędził korytarzem w towarzystwie długorękiego stwora. Nagle zatrzymał się, jakby Qui-Gon zawołał go po imieniu, choć Jedi się nie odezwał. Odwrócił się i zobaczył, jak Qui-Gon przeskakuje przez barierkę.

- Miałem nadzieję, że przyjdiesz - powiedział.

Qui-Gon kiwnął głową.

- Mało brakowało, a bym się spóźnił. Szybko.
- To jest Guerra - przedstawił chłopiec swojego wyba-wiciela.

- Chodźcie obaj - ponaglił Qui-Gon. - Zaraz będą tu strażnicy. Wszystko widzieli.

Ręce Guerry powędrowały do obroży, którą miał na szyi.

- Nie mogę stąd odejść. Ty też nie, Obawanie.

Obi-Wan spojrzał na Qui-Gona.

- Obroże elektryczne. Jeśli spróbujemy zejść z platformy, wybuchną.

Qui-Gon kiwnął głową. Skoncentrował Moc na odbior-niku w obroży Obi-Wana.

Chłopiec pomacał urządzenie.

- Przestała brzęczeć,

- Po dotarciu na stały ląd będziemy musieli wymyślić, jak ją zdjąć - powiedział Qui-Gon.

- To stamtąd idzie sygnał - wyjaśnił Guerra. - Nadaj-nik mają strażnicy z posterunku w doku załadunkowym w Bandorze.

Qui-Gon zajął się teraz obrożą Guerry. Nagle jednak obrócił się na pięcie; to otworzyły się drzwi windy. Tuż koło jego ucha przemknęła wiązka energii.

- Chyba ci się przyda - zauważył, rzucając Obi-Wanowi jego miecz świetlny.

Razem stawili czoło strażnikom; dwa miecze zaśpiewały unisono. Imbaci - było ich czterech - zawahali się. Pierwszy raz widzieli taką broń. Ale wciąż rozwścieczeni ucieczką Obi-Wana, rzucili się do ataku.

Qui-Gon wskoczył na barierkę, zrobił salto i wylądował za ich plecami; Obi-Wan zaatakował z przodu. Poruszali się w pełnym gracji duecie, nacierając, cofając się, spychając przeciwników z powrotem do windy, z łatwością parując strzały.

- Obawanie, idą następni! - zawołał Guerra.

Ze schodów na drugim końcu podestu wyskoczyło piętnastu strażników, strzelając w biegu.

- Czas na nas - powiedział Qui-Gon do Obi-Wana.

Wtem Phindianin krzyknął i upadł na ziemię, trafiony z miotacza. Podniósł głowę, popatrzył na chłopca.

- Ledwo mnie musnęło - powiedział. - Uciekaj. Ja ich zatrzymam.

Obi-Wan włożył mu do ręki miotacz.

- Nie, to ty uciekaj. Pobiegnij schodami na górę i schowaj się gdzieś. Za godzinę na dobre wyłączymy twoją obrożę. Zaufaj mi.

Guerra uśmiechnął się słabo.

-Ja... nikomu... nie ufam... - powiedział cicho. Ale dokuśtykał jakoś do schodów, osłaniany przez Obi-Wana i Qui-Gona. Zatrzymał się i odwrócił. - Skłamałem, Obawanie! Tobie ufam.

Kenobi przeskoczył nad ciałami strażników, wspiął się na barierkę i skoczył. Udało mu się chwycić linę i ześlizgnąć po niej do łodzi.

Po nim wylądował Qui-Gon. Uruchomił silnik i pod gradem strzałów wypłynęli na otwarte morze.

ROZDZIAŁ 15

Gdy tylko znaleźli się poza zasięgiem strzału z miotacza, Qui-Gon ustawił kurs na Bandor. Obi-Wan siedział obok niego, patrząc przed siebie. Nie wiedział, o co najpierw zapytać.

- Powiedziałeś, że miałeś nadzieję, że przyjdę - zauważył cicho Qui-Gon. - Nie „wiedziałeś”, tylko „miałeś nadzieję”.

Obi-Wan milczał przez chwilę.

- Muszę dowiedzieć się prawdy o Xanatosie - odezwał się w końcu. - On mówił, że był twoim uczniem i ci ufał, a ty go zdradziłeś.

- Uwierzyłeś mu? - zapytał Qui-Gon.

Obi-Wan milczał. Wiatr odgarniał mu włosy z twarzy.

- Myślę, że nie zdradziłbyś Podawana - rzekł wreszcie. - Ale nie rozumiem, dlaczego on cię tak nienawidzi. Ma powód, Qui-Gonie? Czy Xanatos uwięził mnie na platformie górniczej tylko po to, żeby się na tobie zemścić?

Mistrz Jedi z powagą kiwnął głową.

- Tak, tak sędzę. Już czas, żebym ci o nim opowiedział. Powinienem był zrobić to wcześniej.

Z morza zaczęła podnosić się gęsta mgła. Obi-Wan czuł smak skraplającej się na wargach wilgoci. Ze wszystkich stron otaczał go szary wir; w górze srebrzysta szarość mgły, w dole matowa szarość oceanu. Zdawało mu się, że słowa Qui-Gona dochodzą go z przeszłości równie mglistej i odległej jak świat wokół niego.

- Każdy uczeń wnosi do Świątyni coś niepowtarzalnego - zaczął cicho Qui-Gon. - Xanatos wyróżniał się już jako dziecko. Był inteligentny na swój agresywny sposób a równocześnie bardzo szybki i zręczny. Urodzony przywódca. Uważałem, że to najbardziej obiecujący i zdolny chłopiec, jaki kiedykolwiek trafił do Świątyni. Yoda sądził podobnie.

Jinn urwał na chwilę, skorygował lekko kurs.

- Ale Yoda miał wątpliwości. A kiedy Xanatos urósł i został moim uczniem, wahanie mistrza zaczęło budzić we mnie niechęć. Wydawało mi się, że Yoda podważa mój osąd, podczas gdy on, naturalnie, miał wątpliwości co do przyszłości samego chłopca. Dostrzegał coś, czego ja nie widziałem. Ucieszyłem się, kiedy zaproponował, żeby następna misja była naszą ostatnią. Pomyślałem, że w końcu udowodnię mu, że miałem rację. Że Xanatos do-

wiedzie własnej wartości, tego, co od początku w nim Wi-działem.

Spojrzał na Obi-Wana.

-Widzisz, gdzie popełniłem błąd - powiedział i nie było to pytanie.

Chłopiec kiwnął głową.

- Chyba tak. Ty coś udowodnisz. Ty czegoś chcesz.

- Była to więc również próba dla mnie - rzekł Jinn - ale wtedy o tym nie wiedziałem. Pozwoliłem, by zwyciężył mój egoizm i pycha. Moja potrzeba, by mieć rację. To ważne, żebyś to zrozumiał, Obi-Wanie. Nawet Rycerz Jedi jest tylko żywą istotą i ma swoje wady.

-Jesteśmy poszukującymi, nie świętymi - powiedział Obi-Wan, przytaczając maksymę Jedi.

- Yoda posłał nas na Telos, rodzinną planetę Xanatos. Chłopak od lat nie widział się ze swoim ojcem, Crionem. Przez te lata Crion zyskał znaczną władzę. Telos słynie z prowadzonych na niej badań naukowych; telosjańscy naukowcy to znakomici wynalazcy. Crion wykorzystał ich odkrycia do pomnożenia bogactwa planety, i własnego. Umocnił też swoją władzę i został gubernatorem. Ale zamiast opierać się na miejscowym senacie, rządził sam. Xanatos zobaczył, jak potężny jest teraz jego ojciec. W jakim żyje luksusie. Że bogactwa wszystkich ga-

laktyk są dlań na wyciągnięcie ręki. Zobaczył to wszystko i obudziła się w nim chciwość, i gniew. Zrozumiał, że zabierając go z Telos, pozbawiliśmy go mocy, mocy innego rodzaju. Ze to ja go jej pozbawiłem, i znenawidził za to wszystkich Jedi.

Qui-Gon zapatrzył się w mgłę.

- Z wielu rzeczy rezygnujemy, decydując się na to życie, Obi-Wanie. Naszym przeznaczeniem jest nie mieć domu, nie mieć wymiernej władzy. Xanatos dostał te rzeczy nagle z powrotem, a Crion zauważył, że jego syn się waha. Przez te wszystkie lata żałował swojej decyzji o odesłaniu chłopca na szkolenie. Był starym człowiekiem i nie miał już żadnych przyjaciół, żadnych sprzymierzeńców. Czuł się opuszczony i samotny. Zaczął więc nalegać, by Xanatos przyłączył się do niego w jego wielkich planach. Zrozumiałem, że Yoda przewidział, iż tak się stanie; zrozumiałem, że to właśnie było tą ostatnią, najważniejszą próbą.

Westchnął.

- Nie wątpiłem w mądrość Yody. Zrobiłem to, co należało zrobić. Stanałem z boku. Nie próbowałem kierować Xanatosem ani wywierać na niego wpływu. Był gotów, by samodzielnie dokonać wyboru.

I wybrał źle - powiedział cicho Obi-Wan.

-Jak to się często dzieje z moźnymi, Crion stał się chciwy. W tajemnicy planował wszczęcie wojny z pobliską planetą. Badania naukowe przestały mu wystarczać. Gdyby Telos zyskała dostęp do surowców i fabryk, mogłaby stać się jeszcze potężniejsza. Traktat pokojowy pomiędzy tymi dwoma światami odnawiano automatycznie co dziesięć lat. Tego roku jednak Crion wysunął wniosek o ponowne jego rozpatrzenie. Później przekonałem się, że był to podstęp, gra na zwłokę, do czasu zebrania armii. Ja miałem obserwować przebieg negocjacji. Na pierwszym posiedzeniu Xanatos, zgodnie z poleceniem ojca, umyślnie doprowadził do zerwania rozmów. Widzisz, chcieli wmieszać w to ludność Telos. Ale ja wiedziałem, co się dzieje, i podałem to do wiadomości publicznej. Mieszkańcy planety powstali przeciw Crionowi, on jednak nie ustąpił; Xanatos nakłonił go, żeby już raczej walczył. Sprowadzili najemną armię, chcąc stłumić bunt i zostać u władzy. Wybuchła wojna domowa. Ni stąd, ni zowąd okazało się, że umierają ludzie. Sytuacja wymknęła mi się spod kontroli - a wszystko dlatego, że nie wiedziałem, do czego zdolny jest Xanatos.

Qui-Gon mocno zacisnął dłonie na sterach podusz-
kowca.

- Xanatos stanął na czele wojska. Ostatnia bitwa rozegrała się w siedzibie gubernatora. Crion zginął.

Umilkł. Twarz miał posępną.

- To ja go zabiłem - rzekł z powagą. - Zadałem mu śmiertelny cios na oczach jego syna. Mój miecz świetlny przeciął pierścień, który Crion miał na palcu. Kiedy Crion umierał, Xanatos podniósł gorący jeszcze pierścień i przyłożył go sobie do policzka. Wciąż słyszę ten syk. Widać też bliznę.

- Przerwany okrąg - powiedział Obi-Wan.

Qui-Gon spojrzał wprost na chłopca. Na twarzy Jinna kładł się ponury cień wspomnień.

- Powiedział, że ta blizna zawsze już będzie mu przypominać o tym, co przeze mnie utracił. O tym, jak go zdradziłem. Fakt, że z powodu żądzy władzy jego ojca zginęły tysiące ludzi, nic absolutnie dla niego nie znaczył. Dla mnie - wszystko.

- Co stało się potem? - zapytał Obi-Wan.

- Potem Xanatos dobył miecza - odpowiedział Qui-Gon, raz jeszcze przenosząc się myślami w przeszłość.

- Walczyliśmy do utraty sił. W końcu wytrąciłem mu broń z ręki i powaliłem go na ziemię. Ale nie potrafiłem zadać ostatecznego ciosu. Xanatos roześmiał się i wybiegł. Szukałem go na całej Telos, ale on uprowadził statek,

Uczeń Jedi - Jude Watson – 02. Mroczny Przeciwnik

ukradł skarb planety i zbiegł w daleki kosmos. Zniknął bez śladu i już nie wrócił... aż do teraz.

ROZDZIAŁ 16

Oui-Gon popatrzył na przyrządy. Zbliżamy się do nabrzeża Bandoru.

- Musimy dostać się do nadajnika - powiedział Obi-Wan. - Obiecałem Guerrze.

Rycerz skinął głową i wprowadził łódź do doku towarowego Korporacji Pozaplanetarnej. Uwiązali ją do słupka i poszli na posterunek straży.

- Masz jakiś plan? - zapytał chłopiec.

- Nie mamy czasu na układanie planu - odpowiedział Oui-Gon i kopnięciem otworzył drzwi. Trzech zaskoczonych strażników-Imbatów poderwało głowy. Zanim zdążyli sięgnąć po broń, powietrze przeciął miecz Jinna. Wszystkie trzy miotacze poleciały z hałasem na podłogę, a strażnicy chwycili się kurczowo za nadgarstki, wyjąc z bólu.

- Nadajniki proszę - powiedział uprzejmie Oui-Gon. Kiedy się zawahali, niedbałym gestem spuścił klingę na terminal zasilania. Urządzenie zaiskrzyło i zmieniło się w stos nadtopionego metalu.

Strażnicy wymienili przestraszone spojrzenia. Rzucili nadajniki na podłogę i wypadli z pomieszczenia.

- Miło, jak nie robią kłopotów - zauważył Oui-Gon. Schylił się i podniósł wszystkie trzy nadajniki. Przeszedł się z powrotem na nabrzeże i dwa z nich wrzucił do wody, po czym przycisnął guzik trzeciego.

- Guerra jest już wolny - stwierdził. - A teraz zobaczymy, czy uda się zdjąć ci tę obrożę.

Położył na niej swoje duże ręce, szukając zapięcia czy szczeliny. Nic jednak nie znalazł; nie potrafił też złamać ani wygiąć obręczy. Ustawił miecz na małą moc i spróbował ją przeciąć, ale nic z tego nie wyszło.

- Musiałbym użyć dużej mocy, a wtedy mógłbym zrobić ci krzywdę - powiedział.

- Albo obciąć mi głowę - zauważył wesoło Obi-Wan. Oui-Gon uśmiechnął się.

- Będziemy po prostu musieli coś wymyślić, kiedy do-
trzymamy do Bandoru. - Rzucił Obi-Wanowi nadajnik. - Trzymaj go, póki się jej nie pozbędziemy.

Obi-Wan włożył urządzenie do wewnętrznej kieszeni bluzy.

- Co teraz?

W niebieskich oczach Oui-Gona zapalił się błysk.

- Xanatos. - To imię zabrzmiało w jego ustach jak przekleństwo. - Wracamy do Bandoru.

Wsiadł do śmigacza straży Korporacji i zajął miejsce kierowcy. Uruchomił silnik i Obi-Wan wskoczył do środka. Pojazd z rykiem ruszył ku widocznemu w oddali miastu.

Ciemne niebo wisało nisko nad portem. Szyby kopalni wyglądały na jego tle jak cienkie niby włos rysy, rosły jednak, w miarę jak zbliżali się do Bandoru. Kiedy wjechali na peryferie miasta, Obi-Wan dostrzegł na horyzoncie jakiś punkt.

- Ktoś się zbliża - powiedział.

Qui-Gon kiwnął głową - też to zauważył. Chłopiec wyczuł w Mocy coś mrocznego i zerknął na Qui-Gona.

- Czuję - mruknął Qui-Gon.

Kilka minut później dogonił ich skuter. Nawet bez czarnego płaszcza wiedzieliby, kto go prowadzi.

- Uważaj - przestrzegł Qui-Gon. - Coś mi się nie wydaje, żeby Xanatos był w nastroju do rozmów.

- Ma działka laserowe! - zawołał Obi-Wan.

Strzał z działka minął ich o kilka centymetrów, wzbijając fontannę ziemi i żwiru.

- Właśnie widzę - odparł Qui-Gon.

Skręcił ostro w prawo; jednocześnie obok przemknął następny promień.

W tej sytuacji miecze świetlne były zupełnie nieprzydatne, a miotaczy nie mieli. Mogli polegać tylko na umiejętnościach Qui-Gona. Nie odrywając oczu od przyrządów, Jinn gromadził wokół siebie Moc, przewidując z jej pomocą kolejne strzały.

Kładł maszynę w gwałtowne skręty, stawiał ją na sztorc, ruszał do tyłu i zawisał nieruchomo, wszystko po to, by uniknąć śmiertocznego ognia z działka laserowego. Jadący na skuterze Xanatos miał większą możliwość manewru. Teraz wykorzystał ją, by uskoczyć niespodziewanie w bok, okrążyć ich i ostrzelać z lewej. Wstrząs o mało nie wyrzucił Obi-Wana ze śmigacza.

- Trzymaj się! - krzyknął Qui-Gon. Przyśpieszył raptownie, trzymając się tak nisko nad powierzchnią gruntu, na ile tylko starczało mu odwagi. Poderwany z ziemi pył uniósł się gęstym tumanem, oślepiając Xanatosa.

Dało im to tych kilka bezcennych sekund. Qui-Gon rozpoznawał już widniejące przed nimi szyby. Kopalnia Planetarna, a w niej przyjaciele, do tego uzbrojeni. Clat'Ha potrafiła doskonale walczyć. Już kiedyś go uratowała. Wpadł na pełnej prędkości na plac przed kopalnią, ale nikogo tam nie zobaczył. Wszyscy byli pod ziemią i usuwali szkody. Nie było czasu, żeby wezwać na pomoc Veer-

Tę albo Clat'Hę. Usłyszeli, jak za ich plecami na plac wjeżdża Xanatos.

Qui-Gon wyskoczył ze śmigacza, wołając do Obi-Wana, by ten poszedł w jego ślady.

Xanatos, nie zwalniając, pędził w ich stronę. Jinn dobył miecza i uderzył, kiedy napastnik go mijał. Cięcie ześlizgnęło się po skuterze, ale siła uderzenia zakręciła rycerzem i odrzuciła go do tyłu. Qui-Gon poczuł ból w nadwerężonym ramieniu. Póki Xanatos miał skuter, nie było sensu z nim walczyć.

Xanatos zawrócił i ponownie ruszył prosto na nich. Nie mieli wyboru, mogli tylko wbiec do kopalni. A wtedy Qui-Gon nagle wszystko zrozumiał i przeszedł go dreszcz.

Robili dokładnie to, czego chciał od nich Xanatos. Grali według jego zasad.

Pociągnął Obi-Wana w głąb korytarza, który rozgałęział się w kilku kierunkach. Spróbował przypomnieć sobie, którądy szedł z VeerTą do windy! Zdał się na Moc, pozwolił jej wybierać i pobiegł w lewo; Obi-Wan tuż za nim. Winda stała na końcu tunelu. Wskoczyli do środka i Qui-Gon wybrał przycisk najniższego, szóstego poziomu. Wyszli z kabiny. Jaskrawe światła zabrzęczały w korytarzu. Qui-Gon skręcił w lewo.

- Dokąd idziemy? - szepnął Obi-Wan.

- Do drugiej windy - wyjaśnił Jinn. - Powinna już być naprawiona, ale Xanatos raczej o tym nie wie. Będziemy mogli podejść go z innej strony, może nawet uciec z kopalni. Wolałbym nie walczyć tutaj.

Chłopiec kiwnął głową. Zawsze lepiej walczyć w miejscu, gdzie przeciwnik nie może zapędzić cię w ślepy zaułek.

Ale nie był to jedyny powód, dla którego Qui-Gon chciał się wydostać z kopalni. Xanatos zapędził ich do niej w jakimś konkretnym celu; musieli pokrzyżować mu plany. Dręczył go jakiś nieokreślony lęk, podpowiadając mu, że kryje się tu coś, z czym wolałby nie mieć do czynienia.

Szli dalej w głąb korytarza. Qui-Gon zmarszczył czoło, wytężając wzrok.

- VeerTa mówiła, że tunel jest zupełnie zablokowany. Dlaczego...

Nagle od ściany tunelu oderwał się cień i stanął przed nim Xanatos.

- Popelniasz tyle błędów, Qui-Gonie - powiedział. - To cud, że jeszcze żyjesz. Najpierw wyłączasz nadajnik, że bym wiedział dokładnie, gdzie jesteś. Potem wchodzisz do kopalni, tak jak chciałem. A wreszcie zakładasz, że nie wiem o północnej windzie.

Z tyłu, za sobą, Qui-Gon usłyszał syk miecza Obi-Wana.

- Którego z was mam zabić pierwszego? - wyszeptał Xanatos. - Ciebie czy tego małego niezdarę?

Obi-Wan rzucił się do ataku. Wskoczył na wózek kopalniany, który potoczył się w stronę Xanatosa, i w ostatnim momencie odbił się. Przeleciał nad głową Xanatosa i jeszcze w locie zadał mu cios mieczem.

Qui-Gon usłyszał, jak pali się ciało na dłoni Xanatosa. Mężczyzna krzyknął i upuścił miecz, ale zaraz złapał go drugą ręką.

Kenobi wylądował bezpiecznie za Xanatosem.

- Nie nazywaj mnie niezdarą.

Xanatos zawirował tak szybko, że Qui-Gon ledwo wychwycił jakikolwiek ruch, i zaatakował Obi-Wana. Chłopiec skoczył na oślep do tyłu, tnąc jednocześnie mieczem. Cios Xanatosa minął go o włos; potem mężczyzna musiał się odwrócić, żeby sparować uderzenie Qui-Gona. Ostrza zetknęły się ze sobą i zablokowały. Tunel wypełnił się dymem.

Xanatos przeskoczył nad Obi-Wanem i pobiegł przed siebie korytarzem. Jedi rzucili się w pościg. Tunel biegł pod ostrym kątem w dół i Qui-Gon zorientował się, że prowadzi na niższy poziom.

Skręcili za róg, akurat na czas, by zobaczyć, jak Xanatos znika w odbijającym w bok od głównej sztolni węższym korytarzu. Pobiegli za nim. Tunel był ciasny i pogrążony półmroku; lampy ustawiono na niższą intensywność, grunt dalej wyraźnie opadał, a Xanatos gdzieś zniknął.

- Poczekaj, Qui-Gonie - odezwał się zdyszany Obi-

- Jesteś pewien, że mamy za nim iść?

- A czemu nie? - zniecierpliwził się Qui-Gon. Miecz pulsował mu w dłoni, parzył ją.

- Bo on chce, żebyśmy za nim poszli - odparł po prostu chłopiec.

- Teraz już za późno. Fakt, to on wybrał pole bitwy. Ale to nie znaczy, że nie damy rady go pokonać.

Rycerz odwrócił się i pobiegł korytarzem za Xanatossem. Obi-Wan poszedł w jego ślady. Wiedział, że będzie walczył u boku swego mistrza do ostatniego tchu.

Znajdowali się teraz w niskich warstwach skorupy planety, blisko płaszcza. Było bardzo gorąco. Przed sobą Qui-Gon ujrzał jarzący się słabym blaskiem napis „Poziom 5”.

A więc VeerTa go okłamała. Albo po prostu nie wiedziała o istnieniu tego tunelu.

Korytarz doprowadził ich do innego tunelu, trochę szerszego i jaśniej oświetlonego. Ledwo się w nim znaleźli, zasunęła się za nimi niewidoczna dotąd płyta.

Byli w pułapce.

Krążyli powoli, trzymając broń w pogotowiu, ale po Xanatosie nie było śladu.

Zgasło światło.

- Myślę, że macie czas na jedno proste ćwiczenie ze Świątyni - odezwał się szyderczy głos. W ciemności zapłonęła czerwona smuga miecza świetlnego.

Qui-Gon nie czekał na atak Xanatosa. Ruszył przez mrok w stronę czerwonego światła. Nic nie widział, ale pozwolił, by Moc kierowała jego krokami. Czuł swojego przeciwnika, czuł mroczne drgania zła. Zaatakował.

- Pudło - stwierdził Xanatos. - W tym teście zawsze radziłem sobie najlepiej. Pamiętasz?

Obi-Wan przesunął się w prawo, myśląc, że może uda im się wziąć Xanatosa w klasyczne kleszcze. Ale zanim się obejrzał, czerwone ostrze pomknęło ku niemu. Odskoczył, ale mało brakowało - w powietrzu rozeszła się woń ozonu.

Trudna to była walka, musieli zdać się całkowicie na instynkt i Moc. Xanatos był niebezpiecznym, przebiegłym

przeciwnikiem. Atakował i cofał się we wściekłym rytmie, szybciej niż jakikolwiek inny wojownik, z którym Obi-Wanowi zdarzyło się spotkać. Qui-Gon odpowiadał na jego ataki ze zdumiewającą zręcznością i siłą, chroniąc siebie i Obi-Wana.

Chłopiec przypadł do ziemi, licząc na to, że uda mu się ciąć Xanatosa w nogi i powalić go w ten sposób, ale mężczyzna zszedł z linii ciosu i przeskoczył nad nim - Obi-Wan poczuł tylko nad sobą ruch powietrza.

Spróbował odsunąć od siebie gniew i sięgnąć do białego światła Mocy. Zrozumiał, że gniew mącił mu umysł. Musiał się go pozbyć - innej szansy nie było. Pozwolił, by kierowała nim żywa Moc.

Nagle zobaczył, jak Qui-Gon zamiera nieruchomo na ułamek sekundy, a jego miecz przygasa. Czyżby wyczuł tę zmianę w umyśle Obi-Wana?

Poczuł, jak ich energie łączą się, zlewają w jedną tętniącą, rozpaloną do białości Moc. Miecz Qui-Gona ponownie rozbłysnął jaskrawą zielenią, tak jasną, że oświetlił całą sztolnię. Razem zaatakowali; ostrza mieczy pomknęły prosto do celu. Spychali Xanatosa coraz dalej i dalej, aż zapędzili go w ślepy zaułek; dalej była już tylko ściana tunelu. Raptem jednak ściana zrobiła się przezroczysta i otworzyły się w niej drzwi. Xanatos wskoczył do środka.

- To winda! - zawołał Qui-Gon, rzucając się do przezroczystych drzwi, ale one zdążyły się już zamknąć. Uderzył w nie mieczem - bez skutku.

Dobiegające z głośnika słowa Xanatosa odbiły się echem od ścian sztolni.

- To, co teraz zrobicie, jest bez znaczenia. W kopalni wkrótce nastąpi wybuch. Przygotowałem tę eksplozję podobnie jak poprzednią, ale ta będzie silniejsza. Gazy mieszają się już ze sobą i za chwilę dojdzie do zapłonu. Ja zdążę wydostać się na powierzchnię. Wy nie.

Słyszeli, jak winda sunie w górę, ku powierzchni. W ciemności rozległ się głos Xanatosa:

- Żegnaj, mój były mistrzu. Oby twoja śmierć była równie okrutna jak śmierć mojego ojca.

ROZDZIAŁ 17

Korytarz - rzucił Obi-Wan, z trudem łapiąc oddech. Pobiegli do wejścia, którym dostali się do sztolni, ale, tak jak się spodziewali, było szczelnie zamknięte. Qui-Gon przyłożył do niego ręce i okazało się, że płyta zrobiona jest z powlekanej transpastali. W półmroku rzeczywiście wyglądała na fragment skalnej ściany. Przypuszczalnie od strony głównego korytarza wejście do tego bocznego tunelu zamaskowane było w ten sam sposób.

- Zamknięte - stwierdził Jinn. - I nie mogę otworzyć, nawet Mocą.

- Spróbujmy razem - podsunął Obi-Wan.

Skupili się obaj, działając z całej siły na drzwi. Ani drgnęły. Nawet nie zrobiły się przezroczyste.

- Te są chyba porządniej zamknięte - zawyrokował Qui-Gon. - Xanatos nie ryzykowałby przecież, że uda nam się je otworzyć.

- Musi być jakiś sposób - zawołał zdesperowany Obi-Wan. Uderzył w drzwi mieczem, ale jedynym efektem był ból w ramieniu.

-Tu jest panel - zauważył Jinn. Otworzył kasetkę w środku jarzyło się kilka guzików. Zaczął je naciskać, ale nie było żadnej reakcji. - Zamek - mruknął.

- Mówił, że mamy mało czasu - odezwał się Obi-Wan. Rozejrzał się po sztolni. - Qui-Gonie, on powiedział, że ten wybuch będzie potężniejszy...

- Owszem, I jestem pewien, że nie żartował. Wymienili spojrzenia. Obaj pomyśleli o pracujących nad nimi górnikach - były wśród nich także Clat'Ha i Veer-Ta. Zginie wiele osób. Umrą marzenia o Kopalni Planetarnej. Sama Bandomeer zostanie skazana na zagładę.

- Możemy zrobić tylko jedno - oświadczył Obi-Wan. - Potrafię otworzyć przejście. Ja jeden mogę to zrobić.

Qui-Gon poczuł budzący się w nim przerażający niepokój.

- Co masz na myśli?

Chłopiec dotknął opasującej jego szyję obroży.

- Mam nadajnik - wyjaśnił. - Mogę z powrotem włączyć obrożę. Jeśli stanę pod drzwiami, powinny się otworzyć pod wpływem wybuchu. Może zdążysz ewakuować robotników.

- Przecież nie przeżyjesz takiego wybuchu! - zawołał Qui-Gon.

Obi-Wan sięgnął do kieszeni po nadajnik.

- Odsuń się jak najdalej.

- Nie, Podawanie. Musi być jakiś inny sposób.

- Nie ma innego sposobu i dobrze o tym wiesz - odpowiedział ze spokojem Kenobi. - Odsuń się.

- Nie! - krzyknął Qui-Gon. - Nie odsunę się. I zabraniam ci to robić.

- Qui-Gonie, pomyśl o tych wszystkich ludziach, którzy zginą - rzekł Obi-Wan. - Pomyśl, ile wygra na tym Xanatos. Pomyśl o Bandomeer. Przylecieliśmy tu, żeby ją chronić. Jeśli tego nie zrobię, przegramy.

- To zły sposób - odparł z powagą Qui-Gon.

Obi-Wan był blady, twarz miał nieruchomą. Wszystkie mięśnie zastygły mu w pełnym zdecydowania napięciu.

- Nie, Qui-Gonie. Potrafię to zrobić, I zrobię.

ROZDZIAŁ 18

Oui-Gon znalazł się z powrotem w samym sercu swojego koszmarnego snu. Czuł to samo przerażenie co wtedy, tę samą rozpacz, I tak samo jak wtedy był przekonany, że musi temu zapobiec, bez względu na podziw, jaki wzbudziła w nim odwaga chłopca.

- Nie pozwolę na to - powiedział. - Wyłączę odbiornik, posługując się Mocą.

Obi-Wan pokręcił głową i uśmiechnął się lekko.

- Nie uda ci się. Wiem, że potrafiłbym oprzeć ci się w takiej walce. Może tylko ten jeden raz. Ale tym razem ja mam rację, a nie ty.

Zaskoczony Oui-Gon poczuł, jak Moc otacza Obi-Wana potężną falą. Zdumiało go, że aż tak potężną. Ich spojrzenia spotkały się. W pogrążonym w mroku tunelu rozgrywał się w milczeniu pojedynek woli.

Obi-Wan oparł się o kasetkę zamka, przyciskając nadajnik kurczowo do ciała.

- Daj mi odejść, Qui-Gonie - poprosił. - Już czas na mnie.

Zdesperowany rycerz spojrział na kasetkę z panelem sterowania. Miał ochotę rozbić ją mieczem w drobny mak albo rzucić się całym ciałem na drzwi. Nie mógł na to pozwolić!

Nie pozwoli, by koszmar zwyciężył.

Koszmar...

Z pokrywy kasetki spoglądały na niego dwa połyskliwe przerwane okręgi. Dlaczego dopiero teraz je zauważył? Zamek opatrzony był znakiem Korporacji Pozaplanetarnej.

„Przerwany okrąg, łuk, którego końce - przeszłość i przyszłość - nie stykają się ze sobą. Musi zamknąć okrąg. Umieścić przeszłość tam, gdzie jej miejsce. Musi...”

- Stój. - Qui-Gon uciszył niespokojne myśli, pozwalając, by wypełniła go Moc. Skupił się na nie domkniętym okręgu, czerpiąc też z siły Obi-Wana. Wyobraził sobie, jak łuk wydłuża się, a jego końce stykają się ze sobą, na powrót zamykając okrąg. Oto przeszłość spotykała się z przyszłością; razem dawały początek teraźniejszości. Tylko ona się liczyła. Xanatos był przeszłością. Teraźniejszością - Obi-Wan.

Łuk zaczął się powoli naciągać, aż zamknął się, tworząc idealny okrąg. Drzwi otworzyły się.

- Mówiłem ci, że musi być jakiś łatwiejszy sposób - powiedział do chłopca.

Obi-Wan uśmiechnął się z ulgą. Był zmęczony. Smugi potu pokrywały jego twarz.

- Lepiej się pośpieszmy - rzucił.,

Popędzili krętym tunelem na górę, do głównej sztolni. Qui-Gon pamiętał, że koło południowej windy można włączyć alarm. Zrobił to i korytarze wypełniły się miarowym wyciem syreny.

- Opuścić kopalnię - rozległ się spokojny głos. - Opuścić kopalnię.

- Nas też to dotyczy - zauważył Obi-Wan, ściągając windę.

Ale Qui-Gon wahał się jeszcze. Rozejrzał się po tunelu; niedawno pracowano nad oczyszczeniem go z gruzu. Pod ścianami stały jeszcze stosy materiałów wybuchowych. Na jednym z nich spoczywała nieduża skrzynka.

- Obi-Wanie... To taką skrzynkę widziałeś?

Chłopiec obejrzał się.

- Tak. Ale mamy za mało czasu, żeby przekonać się, co jest w środku. - Winda zatrzymała się przed nimi z sykiem.

- Chodźmy już, Qui-Gonie!

Jinn nie odpowiedział. Wyciągnął z pochwy miecz i precyzyjnym ruchem przeciął zamek.

- Xanatos zawsze miał jakiegoś asa w rękawie - mruknął. - Zawsze zostawiał sobie jakąś furtkę. - Ostrożnie uniósł pokrywę. No, tak. Oczywiście. Bomba jonowa, najsilniejszy ładunek wybuchowy w galaktyce.

Obi-Wan zajął mu przez ramię.

- Mówił coś o mieszaniu gazów.

- Kłamał. Bomba z zapalnikiem czasowym, i jeśli miałbym zgadywać, powiedziałbym, że wszystkie te rozsiane po całej Bandomeer ładunki nastawione są na ten sam moment. - Spojrzał na Kenobiego. - Dojdzie do potwornej reakcji łańcuchowej. Cała planeta może zostać zniszczona.

Obi-Wan zbladł.

- Wiesz, jak ją rozbroić?

Qui-Gon kucnął koło skrzynki.

- Nie Mocą - stwierdził. - Zapalnik jest tak czuły, że mogłoby go uruchomić nawet muśnięcie Mocy. Potrafię rozbroić bombę, ale potrzebuję czasu, którego nie mamy. - Pochylił się niżej. - To pewnie jest główny zapalnik, wspólny dla wszystkich ładunków - Xanatos musiał go uruchomić, opuszczając kopalnię. To jest dobra wiadomość. Jeśli uda nam się rozbroić tę jedną bombę, nie wybuchnie żadna z pozostałych.

Obi-Wan przełknął ślinę.

- A ta zła wiadomość?

- Do wybuchu zostały trzy minuty - odpowiedział Qui-Gon. - A potrzebuję piętnastu.

Słyszając to, chłopiec czuł, jak jedna za drugą uciekają bezcenne sekundy. Żeby dojsć tak daleko - i dać Xanatosowi wygrać! Nie mógł na to pozwolić.

- Nienawiść popchnęła go do zniszczenia planety po to tylko, żeby mnie zabić - zadumał się Qui-Gon. - Nie mówiąc już o tym, że zrezygnował z wszystkich tych skarbów, które miał w zasięgu ręki. VeerTa mówiła, że żyła jonitu warta jest fortunę.

- Jonitu? - zdziwił się Obi-Wan. - Zdawało mi się, że to kopalnia lazurytu.

- Po eksplozji trafili na złożę jonitu - wyjaśnił Qui-Gon. - Siła wybuchu wyniosła z dołu trochę skał.

- Czy w tej bombie jest zegar?

Qui-Gon skinął głową.

- Tak, zegar jonowy. Dokładny co do sekundy. A czemu pytasz?

Obi-Wan nie odpowiedział, tylko popędził korytarzem w kierunku zwału gruzu. Wybrał z niego okruch, skały i zarysował go paznokciem. Ujrawszy przyćmiony połysk jonitu, poupychał po kieszeniach więcej kamieni.

- Została minuta - zawołał Qui-Gon.

-Jeszcze nie po nas - odpowiedział Obi-Wan, biegnąc z powrotem. Ostrożnie obłożył bombę odłamkami skały.

- Co ty...? - zaczął Qui-Gon, ale urwał w pół zdania, kiedy zgasł cyfrowy wyświetlacz zapalnika czasowego.

- Co się...

. - To jonit - odparł chłopiec. - Elektryzuje się naprzemiennie. Większość urządzeń przestaje od tego działać. Zwłaszcza zegary. Górnicy się go boją, ale tym razem jonit uratuje im życie. - Uśmiechnął się szeroko. - Masz swoje piętnaście minut, Qui-Gonie. Jinn odetchnął głęboko.

- W takim razie biorę się do roboty - powiedział.

ROZDZIAŁ 19

Brudni, w przesiąkniętych potem ubraniach, znużeni Jedi udali się do pałacu gubernatorskiego. Zastali tam SonTag - naradzała się właśnie z VeerTą i Clat'Hą.

- Ktoś włączył alarm w kopalni, zmuszając nas do przeprowadzenia ewakuacji - powiedziała pani gubernator, marszcząc z niepokojem brwi - chociaż nasze czujniki nie wykryły żadnego zagrożenia.

- Założyliśmy je dopiero wczoraj - wtrąciła Clat'Ha.

- Wszystkie zostały dokładnie sprawdzone.

- Poza tym dowiedzieliśmy się, że Korporacja miała jakieś kłopoty na dalekomorskiej platformie górniczej - dodała VeerTa. - Doszło do awarii obroży elektrycznych u wszystkich górników. Robotnicy podnieśli bunt i opuścili kopalnię. Ich przywódca - Phindianin imieniem Guerra - polecił przekazać wam, że u niego wszystko w porządku.

Obi-Wan ucieszył się na tę wiadomość. A więc Guerra odzyskał wolność.

- Nie żeby nam było żal Korporacji - wtrąciła Clat'Ha.

- Dobrze się stało. Ci górnicy byli niewolnikami. Ale czemu nagle wszystkim zaczęły się psuć różne rzeczy?

- Na waszym miejscu nie przejmowałbym się awarią sprzętu - odpowiedział Qui-Gon. - Obawiam się, że muszę ujawnić coś znacznie bardziej bolesnego.

Opowiedział w skrócie, co wydarzyło się w kopalni.

- A więc to jednak Xanatos stał za tą pierwszą eksplozją - stwierdziła SonTag. Na jej twarzy malował się żal.

- Źle zrobiliśmy, ufając mu.

- A nie mówiłam? - zawołała z błyskiem w oku VeerTa. Ale Clat'Ha nie odrywała wzroku od Qui-Gona.

- Co masz na myśli, mówiąc, że musisz ujawnić coś znacznie bardziej bolesnego?

„Nie, Clat'Ha nie należy do tych, co owijają w bawełnę” - pomyślał z podziwem Mistrz Jedi.

- Ktoś was zdradził, ktoś bardzo wam bliski - powiedział. - Był w zмовie z Xanatosem. Zdradził Bandomeer dla osobistych korzyści i powiedział mu o jonicie.

VeerTa zrobiła się blada jak kreda.

- Ale kto mógłby zrobić coś takiego? - zapytała.

Qui-Gon patrzył na nią przez chwilę. Bladość na jej twarzy powoli ustąpiła miejsca jaskrawym rumieńcom.

- VeerTo? - spytała ostro Clat'Ha.

- To dla dobra Bandomeer! - zawołała YeerTa. - Tak mi powiedział. Kopalnia Planetarna na pewno przyniosłaby duże zyski, gdyby po cichu stanęła za nią Korporacja.

- Naprawdę myślałaś, że pozwoliłby nam zatrzymać kopalnię? - zapytała z wściekłością Clat'Ha.

- Jest jeszcze coś - wtrącił Qui-Gon. - Xanatos miał plan awaryjny. Chciał wysadzić większą część planety. Chodzi o te czarne skrzynki, które umieszczono razem z materiałami wybuchowymi we wszystkich Strefach Wzbogacania i na platformach górniczych. Ktoś pomógł Xanatosowi przemycić je do wnętrza kopuły.

- Mówił, że to sprzęt górniczy do późniejszego wykorzystania - wyszeptała YeerTa.

- Bandomeer o mały włos nie została zniszczona - rzekła SonTag. Jej głos ciął jak wibroostrze. - Gdyby nie Jedi...

- Skąd mogłam wiedzieć?! - krzyknęła VeerTa. - Cemu Xanatos miałby niszczyć Bandomeer? Przecież pozbawiłby się zysku!

Qui-Gon milczał. Wiedział, że jeśli istnieje coś potężniejszego niż chciwość, to jest to pragnienie zemsty. Cały swój spisek Xanatos uknuł z myślą o tym dniu. Wykorzystał VeerTę. Wiedział, że Qui-Gon umrze ze świadomością, iż

nie udało mu się ocalić bardzo wielu istnień. Byłaby to najokrutniejsza śmierć, jaką Xanatos mógł mu zgotować.

Raz jeszcze nie docenił Xanatos. Nie zdawał sobie sprawy, że jego były uczeń był więźniem przeszłości w stopniu nie mniejszym niż on sam.

„Nie - poprawił się w myślach Qui-Gon. - Przeszłość nie będzie mnie już dłużej więzić. Zostawię ją na Bando-meer

Clat'Ha wstała i odeszła sztywnym krokiem na bok, jakby nie mogła oddychać tym samym powietrzem, co VeerTa.

- Gdzie jest w tej chwili Xanatos? - zapytała.

Uciekł - odpowiedział Obi-Wan. - Miał wszystko z góry przygotowane; myślał, że odlatuje z planety skazanej na zagładę.

- Może jest w bazie Korporacji - podsunęła VeerTa.

Clat'Ha posłała jej pełne wstrętu spojrzenie.

- I tak nikt nie wie, gdzie to jest. Ty zapłacisz za swoją zbrodnię, słyszysz, VeerTo? Ty owszem, ale twój przyjaciel nie.

- Ależ zapłaci - powiedział cicho Qui-Gon. - Na pewno zapłaci.

Qui-Gon i Obi-Wan wrócili po swoje rzeczy. Za kilka godzin odlatywali.

- Yoda ma dla nas następne zadanie - powiedział Jinn.

„Nas”. Na dźwięk tego słowa Obi-Wana przeszedł przyjemny dreszcz.

Nagle Qui-Gon znieruchomiał ze wzrokiem wbitym we własne łóżko. Do poduszki przyszpilony był kawałek papieru. Obi-Wan zauważył, co się stało, podszedł bliżej i przeczytał nad szerokimi ramionami Qui-Gona:

„Jeśli czytasz ten list, to widać znowu cię nie doceniłem. Obiecuję, że to się już nie powtórzy. Dobrze się bawiłem podczas naszej wspólnej przygody, mistrzu. Jestem pewien, że będziesz miał jeszcze przyjemność spotkać się ze mną”.

Obi-Wan nie potrafił nic odgadnąć z twarzy mistrza. Zajrzał pod zasłonę Mocy, szukając fal gniewu Qui-Gona, ale nie znalazł ich. Czyżby rycerz pohamował gniew, raz jeszcze wznosząc barierę pomiędzy chłopcem a swoimi emocjami?

- Nie jestem zły, Obi-Wanie - rzekł Qui-Gon. - Uwolniłem się od Xanatosy. Teraz jest już tylko jednym z wrogów, jakich mam. Cała nienawiść leży po jego stronie. Jestem gotów walczyć ze złem, które będzie czynił. Niewy-

kluczone, że pewnego dnia Xanatos mnie zabije. Ale już nigdy mnie nie zrani.

Popatrzył na Obi-Wana.

- To ty mnie tego nauczyłeś. W kopalni, kiedy sięgnąłeś głęboko w Moc i pokazałeś mi, że światło zawsze stanie do walki z ciemnością. Wtedy opuścił mnie gniew. W końcu dzięki tobie nauczyłem się czegoś o sobie samym. A jeśli Padawan uczy czegoś swego mistrza, to znaczy, że są na prawdę dobrze dobrani.

- Tak mnie wtedy nazwałeś - powiedział z nadzieją w głosie Obi-Wan. - Padawanem.

- Byłeś gotów dla mnie umrzeć. Wykazałeś się odwagą niezwykłą nawet u Jedi. Byłbym zaszczycony, gdybyś zgodził się być moim uczniem-Padawanem, Obi-Wanie Kenobi.

Obi-Wan poczuł wypełniające go ciepło. Kiedyś myślał, że jeśli usłyszy te słowa, będzie z siebie dumny, ale nie czuł dumy. Tylko Moc przepływała wokół niego i przez niego, a gdzieś w głębi serca poczuł, że dotarł do domu.

- Zgadzam się, mistrzu Qui-Gon Jinnie.

Ma się rozumieć, nie powiodłby ci się twój plan - dodał rycerz. - Nie pozwoliłbym ci umrzeć.

- Nie dałbyś rady mnie powstrzymać, mistrzu - odparł z całkowitym spokojem Obi-Wan.

Wymienili spojrzenia, w których wyzwanie mieszało się z rozbawieniem. Powietrze między nimi drgało od Mocy. Obaj wybiegli wzrokiem w przyszłość, ku wspólnie spędzonym latom i ku misjom, w których przyjdzie im jeszcze wziąć udział. Wiedzieli, że przez te wszystkie lata będą się o to spierać, nawet wtedy, kiedy zblednie już wspomnienie o świecie zwanym Bandomeer - o różnicę zdań między przyjaciółmi, o początek więzi opartej na doświadczeniu i zaufaniu.

Uśmiechnęli się do siebie ze zrozumieniem. Wspólnota myśli była jednym z pierwszych etapów tworzenia się więzi pomiędzy mistrzem a Padawanem. Znakiem, że odtąd kroczą tą samą drogą. Ku przyszłości zrodzonej ze wspólnych doświadczeń w przeszłości.

Qui-Gon oparł dłoń na ramieniu Obi-Wana.

- Pakujmy się - powiedział cichym głosem. - Czeka nas długa droga.

Przeszłość nie daje spokoju Mistrzowi
Jedi Qui-Gon Jinnowi.

Jak może rozpocząć szkolenie młodego
Obi-Wana, skoro prześladowuje go
wspomnienie zdrady, jakiej dopuścił się jego poprzedni
uczeń, Xanatos?

Xanatos, podobnie jak Obi-Wan,
był bardzo obiecującym uczniem...
Ale pociągała go Ciemna Strona Mocy.
Qui-Gon myślał, że Xanatos zniknął
na zawsze.

Ale teraz Xanatos powrócił. I pragnie zemsty.